

całem jego szczęściem. Jeżeli mi mój Bóg przeznaczył zginąć, to zginę, a jeżeli nie, to żadna siła mnie nie zmoże.

— A owóż umierasz, a gdzie twój Bóg? — zaśmiał się Tatar.

— Powiedziałem, abyś sobie poszedł, — rzekł Jusuf, — i więcej razy do mnie nie przychodź. Powiedz baszy, że za moją śmierć wzywam go przed sąd mego Boga, a nie waszego Allacha.

Tatar znowu zaklął.

— Więc zgnij psie niewierny!...

I zatrzaskał kłapę.

Jusuf czuł, że śmierć się zbliża, a przed nią gorsze od śmierci obłąkanie. Szeptał modlitwy za siebie i za wszystkich, za wszystkich... Mówił długo... długo do siebie, jakby przed śmiercią chciał raz jeszcze całe swe życie opowiedzieć sobie samemu. Były tam straszne często obrazy.

— O! szeptał, — czemuż, nie ległem od razu trupem... dla czegoż mam tak okropną ginąć śmiercią?... Czemuż, walcząc z Tatarami, strzały ich mnie mijały, a mój miecz był dla nich postrachem? Czemuż nie poległem w ostatniej bitwie? Byliby wtenczas przynajmniej moi ziomkowie ciało moje pochowali na święconem miejscu. A tak... zapewne zgnić muszę, jak ten tam... mój towarzysz w lochu!... O! Boże, pozwól mi jak najprędzej umrzeć...

Zamilkł na czas niejaki. Widoczna rzewny obraz przedstawił mu się w jego duszy.

— Widzę cię... widzę... o ty mój aniele! — szeptał, widzę twą boleść... widzę twe zranione serce... O Boże! nie dozwoł, aby się kiedy dowiedziała o mej strasznej śmierci!...

Już musiało być znowu w nocy, bo w okienku światła nie widać. A może być, że oko Jusufa już zaszło mgłą śmiertelną i nie dojrzy światła. Może to już śmierć sama, a jemu się tylko zdaje, że jeszcze żyje. Czucia żadnego nie ma, z wyjątkiem dotkliwego zimna przy sercu.

Ale nie, jeszcze nie umarł. Słyszy bowiem wyraźnie szelest przy drzwiach.

— To pewnie znowu obrzydły Tatarzyn przychodzi kusić. — pomyślał, gdyż nawet do szeptu był za słabym, — o Boże! dopomóż!...

Tymczasem szelest trwał dłużej, aniżeli zwykle. Nagle rygle się odsunęły, drzwi się ostrożnie otworzyły i promień światła uderzył w oczy Jusufa. Zakrzyknął, gdyż uczuł w swych oczach ból dotkliwy, jakby go kto ostrym narzędziem skaleczył.

Jakaś postać weszła i stanęła obok Jusufa.

— Jusufie! — szepnął głos, — wstawaj!

— O! ktoś ty jest? — wyszepnął Jusuf ze zamkniętymi oczyma.

— Przychodzę nieść ci zbawienie.

— Och! zbawienie!...

— Wstawaj!...

Jusuf ośmielił się otworzyć oczy.

— Sulejma! — szepnął Jusuf.

— To ja jestem, Jusufie, ja, niosę ci zbawienie za to, żeś mnie twemu Bogu polecił, chociaż on nie tak potężny, aniżeli mój Allah.

Po tych słowach schyliła się i wlała Jusufowi w usta cokolwiek wzmacniającego płynu. Jusuf uczuł, jak się ogień po jego żyłach zaczął rozchodzić. Uczuł się pokrzepionym, sił mu przybyło.

Sulejma wydobyła z torebki kilka smacznych kasków. On je wziął i prawie niegryzione połknął.

Sulejma z radością spostrzegając, że Jusufowi widocznie prawie sił przybywało.

— Jusufie! — rzekła smętnie, — dla czego ty mnie od siebie odpychasz i nie chcesz usłuchać rozkazu ojca mego?

— Sulejmo, — rzekł boleśnie Jusuf, — tyś jest gwiazdą, tyś perłą, ale ja już inną przysiągłem. Och! ona za mną płacze!... Sulejmo, miałbym sumienie ją opuszczać?

— Więc ty ją kochasz?

— Och!... — zawołał Jusuf i położył rękę na sercu.

— I ona ciebie także?

— O! dobra Sulejmo, tak samo, jak ja ją...

— Więc ja nie będę stawiała wam na zawadzie!... Tu masz jeszcze nieco napoju i potrawy, pokrzep się, bo dla ciebie droga daleka... Za chwilę wrócę...

To rzekłszy, wyszła, a Jusuf wyciągnął za nią rękę.

— O aniele! — krzyknął, — o Boże! tyś mi anioła zesłał na pomoc!...

Któż opisze uczucia, jakimi serce jego było teraz przepelnione! Ten, który już miał być traconym i nagle został ulaskawionym, ledwo zdoła sobie to wytłómaczyć.

Miał jednak tyle przytomności, że nie zapomniał zjeść i wypić zostawione sobie pokrzepienia, bo Sulejma mówiła, że droga dla niego daleka. Ona przyjdzie i uwolni go.

Ale czemuż nie przychodzi? Serce mu zabiło gwałtownie. Miałby to być tylko sen? O Boże!

na co taki sen, a potem tém straszniejsze przebudzenie... Albo może zaszła przeszkoda!... Och! gdyby ta nadzieja miała spełznąć na niczém...

Dusza jego była teraz we większém rozstroju, aniżeli przedtem. On już na śmierć był przygotowanym i ta pewność czyniła go spokojniejszym. On już ze światem zerwał i pożegnał wszystkich.

Teraz się nadzieja obudziła, teraz też to zawieszenie pomiędzy życiem a śmiercią było tém okropniejsze. Zdawało mu się, że dni całe mijają.

A tymczasem wcale tak nie było. Za kilka minut po wyjściu Sulejmy znowu się drzwi otworzyły. Ktoś wpadł, ale bez światła.

— Jusufie! — dało się słyszeć odedrzwi.

— Oto jestem, — zawołał Jusuf, idąc ku drzwiom.

Jakaś ciepła, miękka ręka ujęła jego zimną i lodowatą dłoń i pociągnęła za sobą. Przeszli ciemnymi kilku gankami i kurytarzami. Wreszcie przybyli do furty, którą prowadząca go osoba otworzyła, a Jusuf aż się zachwiał, gdyż świeże powietrze go owionęło. Nad sobą widział gwiazdziste niebo, a przy sobie postać niewieścią.

Ale to nie była Sulejma.

Jusufie! — rzekła niewiasta, — pomnij, żeś jęj winien życie. Tam w dali czernieje krzewina. Tam znajdziesz konia i broń... Tu masz podarunek od Sulejmy dla tęj, dla której wolałeś śmierć straszną ponieść, aniżeli jęj stać się niewiernym. Sulejma kazała ci jeszcze powiedzieć, abys się za nią modlił też czasem do twego Boga.

To rzekłszy, wcisnęła mu pakiecik w rękę i zniknęła po za furtkę, którą za sobą zatrzasnęła.

Jusuf stał jeszcze chwilę i swój zamglony wzrok skierował na furtkę. Zdawało mu się, że się ktoś musi jeszcze ukazać. Ale nie... cicho i pusto.

Żwawo pobiegł do zarośli. Stał tam koń osiodłany i uwiązany u drzewa. Z okrzykiem radości dosiadł rumaka; spojrzawszy na gwiazdy, skierował się na północny zachód i cwałem odjechał.

Rano, jak zwykle, przybył Tatar do drzwi.

— Ałlach jest wielki! — zakrzyknął jak pionem rażony, zastawszy drzwi otwarte.

W rozpaczliwem swém położeniu nie wiedział, co począć. Usiadł tedy w kącie na kurytarzu i zaczął wyrzekać.

— Anna sena, anna sena, baba satim! — wołał ustawicznie, coby na polskie miało mniej więcej oznaczać: o ja nieszczęśliwy, cóż pocznę.

Uspokoił się wreszcie i poszedł do komnaty baszy, który już siedział na swem siedzeniu.

— Ałlach jest wielki! — rzekł, wchodząc i kładąc ręce na piersiach.

Basza ciekawie spojrział na Tatara.

— Czy Jusuf nie żyje? — zapytał krótko.

— O panie, — wyrzekł Tatar schylony — jak wielkim jest Ałlach! mam ci coś do oznajmienia.

— Więc mów! — była krótka odpowiedź.

— O panie, — rzekł Tatar spokojnie — Jusuf uciekł!

Basza zadrgnął.

— Uciekł? — zapytał.

— Tak, o panie, uciekł.

— Jakim sposobem?

— Nie wiem, o panie, tylko wiem, że uciekł.

— Czy drzwi wyłamał?

— Nie, drzwi były otwarte, o panie.

Basza klasnął w dłonie. Weszło kilkunastu Tatarów, dworzan baszy i otoczyło dozorcę więzienia półkolem.

— Jusuf uciekł, zawołał spokojnie basza, — dać klucznikowi sto różg na pięty!...

Klucznik nie rzekł więcej, jak tylko zwykłe: „Allach jest wielki!“ a potem sam położył się na plecy. Zdjęto mu obuwie, związane nogi stopami koło siebie, uniesiono je w górę i na podešwy stóp zwolna odliczono sto uderzeń cienkim prętem.

Tatar początkowo zaciął zęby, potem krzyknął, a resztę wytrzymał w omdleniu. Krew się polala obficie, ale to nie wstrzymało bicia.

Po skończonej operacyi polano skatowanego wodą. Ten otrzeźwiał, stanął na straszliwie pokaleczonych nogach, a skłoniwszy się baszy, wyszedł chwiejnym krokiem, uradowany, że się tylko na tak małej karze skończyło.

Basza zwrócił się do przełożonego domu.

— Jusuf uciekł, — rzekł do niego, — rozesz się za nim pogoń, a jeżeli Jusuf wieczorem nie będzie w lochu, ty dostaniesz dwieście różg.

Zbladł Tatar, nie jednakże nie rzekłszy, skłonił się tylko głęboko i wyszedł. Za chwilę tetet kopyt konskich oznajmił baszy, że pogoń puściła się za Jusufem.

W kilka dni później jakiś nędznie odziany i nędznie wyglądający człowiek przechodził granicę

Polski. Stanąwszy na polskiej stronie, padł na kolana.

— O Boże! — wykrzyknął, — nie napróżno Ci zaufałem. Strzegłeś mnie dotąd, opieka Twa zasłoniła mnie tylekroć razy przed śmiercią, mam też nadzieję, że mnie doprowadzisz do ostatecznego mego celu... O! witaj kraju rodzinny!...

Po tych słowach zniżył się i ucałował ziemię.

Wolnym krokiem szedł dalej. Choć ciałem znękan, widać z twarzy, że duch silny i wola niezłamana. Nie zatrzymywał się nigdzie, chociaż go tu i owdzie dla jego odzienia zaczepiano i zagadywano. Chyba tylko przyjął jaki posiłek, który mu chętnie podawano.

Szedł dniem i nocą. Wypoczywał zwykle w zaroślach, rzadko tylko w mieszkaniach ludzkich. Czemu to, jakie miał powody?... Oto, unikał odpowiedzi na wypytywania. Za całą odpowiedź musiało wystarczyć, że on ucieka z niewoli tatarskiej, a imię jego Jusuf.

Właśnie zbliżał się wieczór, kiedy Jusuf po kilkodniowej podróży tak uczuł się strudzony, że sam postanowił szukać przytułku pod strzechą ludzką. Ujrzał zdala na ustroniu zabudowanie pojedyncze, pojedynczy futorek pomiędzy drzewami leśnymi, i tam postanowił wstąpić na nocleg.

Doszedł do domu i chwycił za drewnianą klamkę, aby drzwi otworzyć. Te jednak w tej chwili same się rozwarły i na progu stała podeszła we wieku niewiasta. Chwilę przerażona patrzyła na przybysza, a potem porwała Jusufa za rękę.

— Damian! — wykrzyknęła, — tyś to?

Nie czekając odpowiedzi, wprowadziła go do izby.

XI.

Od Okopu wyciągniętym kłusem gnał Mścigniew z Prokopem ku Górze. Nie mówili do siebie ani słowa, tylko w milezeniu pomykali.

Już się zbliżali do Krzyżówki, gdy nagle Mścigniew wstrzymał konia. I Prokop się zatrzymał.

— Co to znaczy? — zakrzyknął Mścigniew.

— Jakieś zbiegowisko na Krzyżówce, — odrzekł także zdumiony Prokop.

— Ale co to za ludzie?

— Pojedźmy bliżej, zobaczymy.

Nie potrzebowali daleko jechać, gdy już Prokop poznał, co to za jedni.

— To kilku naszych z Okopu, — zawołał, — lecz cóżby oni tam mieli takiego?

Podjechali bliżej. Gdy ich zobaczono, powstał wesoły okrzyk pomiędzy zebranymi.

— Ho! — wołano, — nasz pan!

— Ucieszy się.

— Mamy ptaszka nie lada.

Zebrani trzymali jakiegoś człowieka, który widocznie im się chciał wydrzeć, ale nie mógł. Znać z jego twarzy, że przerażony.

— Cóż to za człowiek? — krzyknął Mścigniew.

— Panie! — krzyknął jeden z obecnych, — ten człowiek więcej wart, aniżeli połowa Okopu.

— Stryczek go nie minie!

— Wart tego.

— On zdrajca!

Prokop wpatrzył się w twarz obcego, a potem zaczął się śmiać i krakał tak przeraźliwie, że Mścigniew brwi zmarszczył.

— A, toś ty ptaszku? — krakał Prokop, — dobrze, żeś wrócił do swoich. Na co dopiero mieliby ci obci pióra wyskubać, kiedy i my to potrafimy!

Mścigniew słuchał i już poczęła mu z gniewu żyła na czole nabrzmiwać, kiedy Prokop zwrócił się do niego.

— Mścigniewie! — zakrakał, — nie wyszło nam się, aby taki zrobić połów!

— Cóż to za jeden?

— Ten? to perła, to dyament!

— Dość tego... któż to?

Tu Prokop usadowił się poważnie na koniu i patrząc na twarz Mścigniewa, rzekł:

— To Bogusz!

— Bogusz! — krzyknął Mścigniew i zadrżał z radości — i jak go tu dostaliście?

Na to wystąpił Kuźma.

— Ano to tak było, — zaczął. — Byliśmy na Górze, bo nas tam sproszone na zabawę. Więc kiedy wracaliśmy, ujrzelśmy człowieka wychodzącego na Krzyżówkę. Ale że nie chciał stanąć, kiedyśmy na niego wołali, przeto puściliśmy się za nim w pogoń. On czmychnął do lasu, aleśmy go wytropili i chcieli właśnie zaprowadzić na Okop. My go poznaliśmy, choć on się wypiera, że on nie Bogusz, chyba Boguszowi podobny.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się Prokop, — mówi, że mu podobny?

— Mówi.

— Ano, — mówił dalej Prokop, — toć on prawdziwemu Boguszowi, który uniósł Witosławę, taki podobny, że go śmiało za niego powiesić można.

— Nie inaczej.

— Hura!

— Powiesić!

— Czy zaraz?

— A zaczemby czekać?

— No, dalej bratku!

Ale Mścigniew zabronił.

— Stójcie!.. ktoś wam kazał go wieszać? — zakrzyknął.

— A przecież to zdrajca! — zawołał Kuźma.

— On zapewne ostrzegł Skarbimira przed najdem.

— On Witosławę uprowadził.

— Zdrajca!

Mścigniew podjechał do samego Bogusza. Ten, trzymany pod ręce, stał cicho ze zwieszoną głową i ponuro patrzył przed siebie.

— Zdrajco! — krzyknął Mścigniew, — dla czegoś nas zdradził?

— Ja nikogo nie zdradziłem, — odrzekł ponuro Bogusz.

— Acha! — zawołano — i tego się wypiera.

— Nie zdradził!...

— Powiesić go, to najlepiej!

Mścigniew krzyknął gromko, i uwagi ustały na chwilę.

— Zdradziłeś! — wrzasnął na Bogusza, — boś Skarbimirowi doniósł o naszym najeździe, a przez to on miał czas się przygotować do obrony.

— Tegom ja nie uczynił, — odrzekł mocniejszym głosem Bogusz.

— Uczyniłeś! — krzyknął znowu Mścigniew, — nie wypieraj się!

— Nie wypieraj się! — zawołał za Mścigniewem Prokop, a za nim też wszyscy:

— Nie wypieraj się! — zawrzasli.

— Ja nie mogę przyznać się do tego, czego nie uczynił, — odrzekł Bogusz spokojnie.

— Więc któż to uczynił? — zapytał gromko Mścigniew.

— Tęgo ja przecież wiedzieć nie mogę, — była odpowiedź.

— Acha! — posypały się znowu wykrzykniki, — słuchajcie, on wiedzieć nie może.

— A któżby wiedział?

— Zdrajca!

— Może się znowu będzie zapierał, że on nie Bogusz!

Mało zważał na te wykrzykniki Mścigniew, wiedząc, że ma prawdziwego Bogusza przed sobą. Zresztą nie chodziło mu teraz o to, czy on rzeczywiście Skarbimira ostrzegł, czy nie, ale mu chodziło zupełnie o co innego.

— Tyś więc Witosławę uprowadził? — zapytał groźnie.

Bogusz milczał.

— Słyszysz? odpowiedz panu! — krzyknął Kuźma.

— Ogłuchł!

— Po co pytać, wszakże to wielu widziało.

— Lepiej z nim na gałąź!

Mścigniew widząc, że Bogusz milczy, już też w tym kierunku dalej nie pytał, tylko nagle zagadnął:

— Gdzie jest Witosława?

Bogusz drgnął, ale nie odpowiedział.

I drudzy milczeli, ciekawi usłyszeć miejsce pobytu Witosławy.

— Gdzie Witosława! — krzyknął Mścigniew, aż w lesie zajękło.

Tu Bogusz podniósł głowę do góry.

— Panie, — rzekł stanowczo, — znają mnie wszyscy na Okopie i wiedzą, że Bogusz nigdy tajemnicy nie zdradził, ani też nigdy nie kłamał.

Okrzyk zadziwienia rozległ się pomiędzy zgromadzonymi, a po nim nastąpiły śmiechy.

— A widzicie go! — zdradził nas Skarbimirovi, a teraz będzie...

— Zdrajca!

— Nie kłamał?

— A nie chciał się nawet przyznać, że on Bogusz.

— To dopiero wywijas!

Mścigniew skinieniem ręki nakazał milczenie. W oku jego zabłysło coś tak wściekłego, aż się serce Prokopa zaśmiało.

— Dobrze — rzekł ze szatańskim uśmiechem, — kiedy nie chcesz dobrowolnie powiedzieć prawdy, to znajdzie się inny sposób... Héj! wiara! udrzyjcie mu jeden pasek.

— Hura!

— Drzeć pasy!... to zdrowo zdrajcy!

— Będzie mu przed powieszeniem na zdrowie.

I doskoczyli do struchlałego Bogusza, a nim ten zdolał przyjść do przytomności, już leżał z obnażonemi plecami na ziemi.

Jękl Bogusz boleśnie, a potem zaciął zęby, postanawiając raczej skonać, aniżeli zdradzić tajemnicę.

Kuźma wy dobył noża, schylił się nad powalonym i pociągnięciem ostrza przerznął mu w dwóch liniach skórę od ramiona aż do pasa na samych krzyżach, naciąwszy pasek szerokości dwóch palcy. Następnie na ramionach przerznął w szersz, nożem podważył skórę i ujawszy ją w palce, silnem szarpnieniem naddał na dwa cale długi kawałek.

Bogusz krzyknął przeraźliwie, a całe jego ciało poczęło w piekielnych męczarniach drgać konwulsyjnie.

— Gdzie Witosława? — krzyknął Mścigniew.

— Morderco! — zawrzasnął Bogusz, — czegoż mnie męczysz? czemuż mnie od razu nie zabijasz?

— Gdzie Witosława? — wrzasnął znowu Mścigniew.

— Tybyś ją zabił, zbójco! — wrzasnął w kureczach Bogusz, — tak jak i mnie zabijasz!... nie powiem!

— Kuźma, drzyj dalej! — rozkazał Mścigniew głosem piekielnym.

I znowu Kuźma zaczął pas skóry oddzierać zwolna, aż kawały wyrywał ciała. Bogusz nie krzyczał, ale ryczał jak potępieniec. Ból niesłychany wprowadził nieszczęśliwego w obłąkanie. Oczy mu wyszły na wierzch, piana z ust się toczyła, a głową z bólu rył ziemię.

— Gdzie Witosława? — pytał ze szatańską spokojnością Mścigniew.

Bogusz nie odpowiadał, tylko ryczał, a drgał w takich kureczach, że go ledwie utrzymać zdołano.

— Kuźma, drzyj dalej! — zawoła szatan w postaci Mścigniewa.

I ów drugi szatan w postaci Kuźmy oddał po raz trzeci kawał skóry z ciałem...

Straszny to był widok. Nawet dworzanie z Okopu odwrócili oczy i zatykali uszy, nie mogąc znieść tego wszystkiego; tylko Mścigniew był spokojny, Kuźma obojętny, a Prokopowi serce się śmiało.

Nieszczęśliwy Bogusz jęczał. Stracił zmysły, stracił przytomność.

— Gdzie Witosława? — pytał znowu Mścigniew.

Bogusz jęczał.

— Kuźmo, drzyj...

Nie dokończył, bo Bogusz zaczął krzyczeć, gadać na około, jęczeć, wyzywać, a w końcu zesztyniał, oczy w słup przewrócił i przestał oddychać. Nie wiadomo czy straszny ból, czy co innego odebrało mu tak nagle życie.

— Skonał! — zawołał Kuźma, — a szkoda, bo pasek tak się ładnie oddzierał.

— Skonał? szkoda, nie ma po co wieszać.

— Dobrze zdrajcy.

— Ale było choćby jeszcze z jeden pasek...

Kuźma powstał. Mścigniew zaś zatarł ręce.

— Hura! — krzyknął Prokop.

— Wybornie! — potwierdził Mścigniew.

— Już dusza jego, jeśli miał jaką, dawno w piekle, — zakrakał Prokop.

— Bez wątpienia.

— Wracajmy, nie ma co robić!

— Wracajmy.

W tém Kuźma się odezwał.

— Panie, — rzekł i wskazał na trupa, — a z tym co?

— Nic, — zawołał Mścigniew, — niech tak na Krzyżówce zgnije na postrach tym, którzy mnie, Mścigniewa, pana na Okopie, Górze i Zalesiu zdradzają!

Po tych słowach zwrócił konia i z Prokopem wrócił na Okop, a reszta poszła za nimi. Kuźma tylko stał jeszcze.

— Czemu nie idziesz?

— Ha! — krzyknął, — to się tak dobrze dało, że mam ochotę dodrzeć do końca.

— A! co tam!... dosyć tego.

— Kto widział pastwić się nad trupem.

— Bo i prawda.

— Przecież i tak już nie poczuje.

Z niechęcią wielką, ale jednak ulegając ogólnemu życzeniu, oddalił się Kuźma od trupa. W drodze zaczęto sobie to i owo przypominać.

— Co też tego Bogusza mogło pokusić, aby Witosławę wykradł i schował.

— Zdrajca!

— Zapewne był namówiony!

— Może mu za to dobrze zapłacono.

— Ale też wyżył męki!

— Wszystko za mało.

— Za mało!

— Pewno czarci na niego dawno czychali, więc go czempredziej porwali.

— Zapewne.

— Ha! ha! ha!

I wśród takich rozmów drużyna godna swego szatańskiego pana wracała na Okop.

W lesie się uciszyło. Jeszcze się rozlegają zdala śmiechy odchodzących, ale i te ucichły, i chyba tylko kruk w przelocie zakracze.

Naraz coś zupełnie blisko w krzakach zaszeleściło. Byłby to wilk, ciągnący do świeżego trupa?

Z gęstwiny wyszedł jakiś podeszły we wieku mężczyzna. Zbliżył się do trupa, obejrzał ranę, a potem wziął go na ramiona i uniósł w gęstwinę. Długo szedł w głąb lasu rozmaitemi parowami i manowcami, aż doszedł do tak gęstego zarosła, że na pierwsze wejrzenie zdało się być niepodobieństwem, aby się można do wnętrza dostać.

Tymczasem starzec podszedł właśnie na najciemniejsze i najgęściejsze miejsce. Tu położył trupa na murawie, a sam zabrał się do odwalenia kamieni, których tam leżało kilkanaście. Z łatwością usunął jeden, sam się przez otwór pomiędzy korzeniami przeciskając wciągnął trupa za sobą, a potem otwór znowu kamieniem zakrył.

Gęstwina była tu tak samo zarosła, jak w innych miejscach, ale mimo tego ów starzec umiał wyszukiwać miejsca, gdzie ta gęstwina była pozorą. Kto inny ani by się tam wcale nie zapuścił. Potem wyszedł na małą polanę, ale całkiem głogiem i cierniem zarosłą. Tu na samym brzegu stał rozłożysty dąb. Starzec położył znowu trupa i zaczął odgrzebywać przy samym odziemku. Niedługo silnie się zasadził i odważył wielką płytę kamienia, całkiem mchem porosłą, tak że jej z wierzchu poznać nie było można, zwłaszcza, że na niej rośli krzak głogu.

Pod tą płytą ukazał się czarny, wielki otwór. Starzec wziął trupa i znikł w tym otworze. Za chwilę kamień się zwolna spuścił, krzak się wyprostował i nikt nie domyśliłby się, że w tém dzikim ustroniu, we wzgórzu zarosłem głogiem,

cierniem i inną krzewiną, oddycha jaka żywa ludzka dusza.

Pod wzgórzem znajdowała się jaskinia, ręką ludzką wykopana. Kto ją wykopał i kiedy, nie wiadomo, gdyż ona nikomu nie była znana. Zresztą ani nikt nie wiedział, że się w lesie jaki znajduje człowiek żyjący samotnie.

Zapewne jaskinię tę wykopano przed wielu, wielu laty na schronienie przed Tatarami. O jej dawności świadczy po nad nią wzrosła krzewina i drzewa. Z drugiej strony zachodziło pytanie, czy to było schronienie przed nieprzyjacielem, bo jama była mała, jakby tylko na pomieszczenie jednej rodziny urządzona.

Była ona wielkości zwyczajnej izby, wąskiej a długiej. W posowie były otwory, któredy wygodnie światło dzienne wpadało, a nawet promienie słoneczne miały tedy przystęp. Przed deszczem natomiast było z wnętrza zabezpieczenie. Wygodny kominiek do ogrzewania znajdował się na samym środku, a po bokach wyniesienia ziemne, z których jedno, usłane mchem i okryte skórami, służyło starcowi za łożo.

Wszystko się tu znajdowało, cokolwiek do potrzeby i wygody służyć mogło. We framugach w ścianach porobionych, stały rozmaite naczynia, narzędzia, a na ścianie wisiła broń.

Starzec wszedłszy do jamy, ułożył trupa na posłaniu. Już to nie był właściwie trup, bo członki stężałe zwolniły, pierś się podniosła i odetchnęła kilka razy. Ale Bogusz popadł znowu w omdlenie. Starzec już na Krzyżówce zauważył, że nieszczęśliwy nie umarł, tylko stęzał z wielkiego bólu, na co Miścigniew nie miał czasu uważać.

Opatrzył mu więc ranę, jego samego otrzeźwił, a Bogusz popadłszy najprzód na febrę, już nazajutrz przyszedł do przytomności i mimo straszliwej rany mógł na łożu wygodnie siedzieć.

— Dobromirze! — zawołał Bogusz, — Bóg ci wynagrodzi za uratowanie mego życia.

Dobromir, gdyż on to był, mało uważał na podziękowanie, jemu o co innego chodziło.

— Boguszu, — rzekł, — nim cię okaleczono, słyszałem wzmiankę o Witosławie. Co to znaczyło?

Bogusz się zadziwił.

— Jakto? — zawołał, — nic nie wiecie?

— Jakże ja mam wiedzieć, — odrzekł, nie rozumiejąc pytania Dobromir, — przecież stałem za daleko, abym był mógł wszystko dosłyszeć. Słyszałem tylko, że cię coś względem niej badano.

Bogusz teraz zrozumiał.

— Ha! — zawołał, — więc nie wiecie, co się stało z Witosławą?

— Nie, odrzekł, — wiemy tylko, że wśród bitwy ktoś ją uprowadził razem z Dobrochną. Ale kto i gdzie, tego nie mogłem się dowiedzieć. Ja nie mogę się pokazywać, bo na Okopie mają myśleć, że nie żyję.

— Hm! — mruknął Bogusz, — Witosławę z Dobrochną ja uprowadziłem.

Dobromir się zerwał.

— Ty! — zakrzyknął, — i gdzie ją podziałeś?

— Znajduje się niedaleko Żurawina, — odrzekł Bogusz.

— O, dzięki Ci, Boże! — wołał Dobromir, — my tu wszyscy rozpaczaliśmy już, myśląc, że się nigdy o niej nie dowiemy.

Bogusz wstrząsnął głową.

— Osobliwsza rzecz, — rzekł, — a przecież na Okopie wszyscy o tém wiedzą i dla tego też ze mnie wczoraj pasy darto.

— Zapewne tę wiadomość trzymają w tajemnicy, — zauważył Dobromir, — aby się o tém Skarbimir nie dowiedział.

— Gdzież jest Skarbimir?

— Mścigniew trzyma uwięzionego na Okopie.

— Biedna Witosława, — zawołał boleśnie Bogusz, — jak ona się zmartwi, gdy się o tém dowie! Właśnie tu przybyłem, aby zasięgnąć języka, co się tu dzieje i czy można już wrócić. Na tém mnie schwytano, i badano o miejsce pobytu, a kiedy nie chciałem zdradzić, darto pasy.

— Nieszczęśliwy! — krzyknął Dobromir, — nie zdradziłeś?

— Ile pamiętam, nie, — odpowiedział Bogusz po jakimś namyśle.

— Więc nie pamiętasz, abyś zdradził?

— Nie, po trzecim szarpnięciu już o niczem nie wiem, co się ze mną działo; dopiero po raz pierwszy przyszedłem do siebie na waszych rękach w jaskini.

Dobromir się zamyslił. Po jakimś czasie podniósł głowę i zapytał.

— Jak długo trzeba iść do Żurawina?

— Na zdrowego prawie tydzień, — odrzekł Bogusz.

— Nie szkodzi, — zawołał stanowczo Dobromir, — choćby trwało i dłużej, pójdę, przypro-

wadzę ją tu do jaskini, tu ona bezpieczniejsza, aniżeli na całym świecie.

— Ona i tam bezpieczna.

— Wszystko jedno.

— Jak wam się podoba, Dobromirze, — odrzekł Bogusz, — ja nie mam prawa do jej woli. Ja z niebezpieczeństwem życia ją uratowałem, ponieważ to anioł dziewica i nieszczęśliwa z powodu Mścigniewa. Nie mogłem przenieść tego na siebie, aby ona stała się małżonką tego, kogo uważam za zbrojce i który też przed Bogiem jest zbrojcą, chociaż mu się zbrojstwo nie udało. Nie mogłem jej tego opowiedzieć, przeto ją uprowadziłem do mego krewnego pod Żurawinem, gdzie w odosobnionym futorku bezpieczna tak długo, dopóki Skarbimir nie odzyska napowrót Góry... To było, com był powinien uczynić, i com w ów dzień, kiedy znaleziono trupa nieszczęśliwego Żelisława, sobie był postanowił... Och! Dobromirze, gdybyście wy wszystko wiedzieli, co ja wiem!...

— I cóż takiego? — zapytał zdziwiony Dobromir.

Bogusz spuścił głowę.

— Wszakże to nie dobrze zdradzać swego pana? — zapytał po chwili.

Dobromir wzruszył ramionami i zakłopotany nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Zdradzać, — rzekł, — to źle, ale... ale wszakże to ksiądz mówi, że trzeba więcej Boga słuchać niż ludzi.

Bogusz machnął ręką.

— Mścigniew właściwie już nie mój pan, a ja dla niego już nie żyję, — rzekł po małej chwili, — zatem posłuchajcie Dobromirze, dla czego ja

meo pana zdradziłem, a Witosławę z rąk jego wydarłem.

Usadowili się obaj wygodnie, a popiwszy z gąsiora, zaczął Bogusz swe opowiadanie.

XII.

— Było to dnia poprzedzającego ów dzień, — mówił Bogusz, — kiedy znaleziono tak strasznie zeszkaradzonego trupa Żelisława... Słońce się miało ku schyłkowi, a ja nie mogąc wytrzymać na Okopie, poszedłem w las, spodziewając się tam znaleźć jaką rozrywkę. Mianowicie chciałem zdyszałbać kogo i dowiedzieć się od niego, czy rychło karawana przybędzie z Kamieńca.

Pan nasz bowiem i my wszyscy na Okopie byliśmy tymi zbójcami, których wy z Góry szukaliście po lesie, a my wam jeszcze nawet pomagali. Oj! naśmialiśmy się potem z was nie mało!

Wiedzieliśmy, że karawana będzie przechodziła, ale niewiedzieliśmy kiedy. Jedni mówili, że wnet, inni, że później. Więc i ja wyszedłem na przepiegi, bo gdyby mi się udało dowiedzieć się czegoś pewnego, to mnie za to czekała nagroda.

Przybyłem na Krzyżówkę i tu się zatrzymałem, nie wiedząc, czy tu zaczekać, czy wyjść na trakt ku Kamieńcowi. Zbadałem ślad, karawana jeszcze przechodzić nie mogła.

Obmyśliłem więc wyjść na trakt. Wtém usłyszałem spieszne kroki drożyną od Okopu. Myślałem, że to nie kto inny, jak którzy z mych towarzyszy. Chciałem więc iść sobie dalej, gdy w tém pomiędzy drzewami mignęły mi dwie postacie, widocznie szukające wygodnego stanowiska na czaty.

Był to Mścigniew i Prokop.

Co by oni mieli na celu, nie wiedziałem, tylko namyśliłem się jeszcze w czas, że to niebezpieczną rzeczą byłoby teraz im się pokazywać. Oniby mnie gotowi uważać za szpiega i bez wszystkiego zamordować. Tacy ludzie świadka swych tajemnych wycieczek nie cierpią.

Czém prędzej więc wskrobałem się na wysokie drzewo tuż na samój Krzyżówce, schowałem się niby wiewiórka w gałęziach i czekałem z niecierpliwością, co to z tego będzie.

Po niejakiem czasie ujrzałem od Zalesia idącego ku Krzyżówce Żeliśława. Drzewo dozwalało mi go już zdala spostrzedz, bo miałem z niego widok na drogę. Czyby to była zasadzka na niego? pomyślałem. Serce mi gwałtownie biło... O! jak chętnie pragnąłem dać mu jakikolwiek znak,... ale jaki? Gdybym się odezwał, Mścigniew z Prokopem zestrzeliliby mnie z drzewa jak kruka. Gdybym ku ostrzeżeniu puścił strzałę do Żeliśława, to onby to uważał za napaść i również zestrzeliliby mnie z wierzchołka, jak ja nieraz robiłem z dziekiem ptactwem.

Zresztą może to i nie na niego. Czekałem tedy dalej. Żeliśław zbliżył się aż całkiem pod moje drzewo. W tém też Prokop wystrzelił do niego, ale go tylko zranił.

Żeliśław rozgniewany, krzyknął, zerwał łuk i zranił strzałą Prokopa. Nim napiął po raz drugi, już Mścigniew go swoją strzałą ugodził w pierś. Żeliśław jęknął i padł na ziemię.

Wtedy Mścigniew znęcał się jeszcze nad trupem, deptał go nogami, a w końcu zawołał, że

teraz ma drogę otwartą do Witosławy, — bo największa zapora usunięta.

Zadziwiłem się, że Mścigniew z Prokopem odeszli, zostawując trupa. Chciałem wtenczas zejść, namysławiając się, co z trupem zrobić. Już byłem na połowie drzewa, gdy inne okoliczności mi przeszkodziły. Usłyszałem bowiem hałas... karawana się zbliżała... ta sama karawana, na którą ja wyszedłem na czaty.

Teraz nie było podobnem się pokazywać, boby mnie zaczepiono. Zresztą zapóźno było donieść o tem na Okop. A zresztą przyznać muszę, że po tym zbójckim czynie Mścigniewa nie miałem do tego ochoty.

Schowałem się wtedy czempredzój pomiędzy gałęzie, a karawana tymczasem rzystała. Uważałem, że nie zakładano bydłom posiłku, ani nie zabierano do rozłożenia się po murawach, więc domysliłem się, że tylko dla jakiej ważnej przyczyny przystanęli na chwilę.

Wyszło kilku nad murawę i zobaczyli Żelisława. Zrobił się hałas, przywołano jakiegoś starca, którego oni Światoszem zwali, i proszono, aby zbadał, czy Żelisław jeszcze żyje, czy nie.

I ukląkł starzec i badał długi czas. Wszystkim serca biły zapewne gwałtownie, a moje jeszcze najwięcej. Litość mnie wzięła nad nieszczęśliwym młodzieńcem i gorąco pragnąłem, aby wyrok starca był pomyślny.

Po niejakiem czasie, który dla przytomnych i mnie zdawał się być wiekiem, starzec uniósł się w górę i wyrzekł krótko.

— Żyje!

Na te słowa szmer radości przebiegł pomiędzy zgromadzonymi. Starzec tymczasem otworzył oponczę, wydobyl z niej pęcherzynę z płynem lekar skim i wlał tego płynu nieco w otwarte usta Żelysława.

Nie długo trwało a trup drgnął oczyma. Jawny ten dowód tłacój jeszcze iskiarki życia, wywołał okrzyk radości. Tylko starzec nie mógł. On ukląkł znowu i ranę tym samym płynem obmył, a potem przyniesionem płótnem jak się dało obandażował.

Tymczasem z woza średniego kilku mężczyzn niosło człowieka, widocznie nieżywego. W samój rzeczy był to trup. Złożono go obok Żelysława.

I obaj leżeli ze skierowanemi ku mnie w górze oczyma, tylko że przyniesiony był zimny i już nigdy nie drgnie, podczas gdy w Żelysławie tlała jeszcze iskiarka życia, bo oko tedy i owedy zadrgnie i pierś zaczyna się nieco unosić. Widzieć tego nie można, ale czuje to Światosz, trzymający swą rękę na jego piersi.

Przerażający i smutny zarazem był to widok. Księżyc w całej pełni przebijał swe promienie przez gałęzie drzew i swem tajemniczem, niepewnem światłem oświecał tę scenę. Przytomni stali w milczeniu, a ponure myśli snuły im się po głowie.

Naraz jeden z nich zapytał starca.

— Ojcie, — rzekł — można tego człowieka uratować?

Starzec wzruszył ramionami.

— Któż to wie, mój Żegoto! odrzekł.

— Wy przecie będziecie wiedzieli...

— Ha! — zawołał starzec, gdyby była opieka...

— Opieka, opieka, — zaburczał Żegota, — przecież go tu żywego nie pozostawimy na pożarcie dzikim zwierzętom!

— Ano nie, — powtórzyli inni.

— Zapewne że nie, — potwierdził starzec, — ale dokąd go zawieźć?

— Ja go wezmę do mego domu, — wymówił Żegota stanowczo, — tu go nigdzie nie można zostawić.

— I to czemu?

— Prosta rzecz, — rzekł Żegota, — ten, który go zdrowego po zbójceku napadł, wyszukałby go chorego i miałby z nim łatwiejszą sprawę.

— Ano, to prawda.

— Słusznie.

— Więc zabierzmy go ze sobą.

— Zabierzmy!... kładźmy go na wóz!

— Dalej.

I skoczyli do Żelislawa, aby go unieść i umieścić na wozie. Żegota zastąpił im drogę.

— Hola! — krzyknął, nie tak, ja myślę to inaczej urządzić.

— A jak?

— Oto patrzcie, — zawołał, wskazując na drugiego trupa, — tego znaleźliśmy na drodze i przywieźliśmy tu na Krzyżówkę, aby go tu pochować.

— Prawda.

— Więc cóż?

— Gadajcie Żegoto, co myślicie!

— Więc myślę, aby ślad po nieszczęśliwym ukryć. — Gdyby zbójcom na myśl przyszło prze-

konać się, czy ich zbrodnia ukryta, to się pomyśla!...

-- Dobra myśl.

-- Bardzo dobra!

-- Wy jednak czasem mądrzy jesteście.

Ale byli inni, którzy byli przeciwnego zdania i nie chcieli przystać na przemianę odzienia. Wtedy powstała krótka kłótnia, poczem zapytano starca o radę, a ten pochwalił zdanie Żegoty i tak kazał zrobić.

Natychmiast ostróżnie zdjęto odzienie z rannego Żeliszława, ułożono go wygodnie na wozie, a obcego, znalezione go nieżywego, ubrano w to odzienie i zawieszono na nim sajdak ze strzałami. Następnie zabrano się do kopania dołu.

Nagle straż boczna karawany dała znak, że się nieprzyjaciel zbliża. Nie było czasu dołu kopać, którego ani nawet jeszcze nie zaczęli, tylko wozy ruszyły naprzód, a kilku miało ledwie czas ułożyć trupa tak samo, jak znaleźli Żeliszława.

Potem i ci uciekli.

Za chwilę przybył Mścigniew z Prokopem i mniemanego Żeliszława ukryli w kupie kamieni. Odeszli.

Ja ledwo mogłem przyjść do siebie z tego wszystkiego, com widział i słyszał. Do mego pana uczułem wstręt, hom się przekonał, że on prawdziwy zbójca. Nie miałem mu za złe, gdy napadał karawany, ale ze zemsty kogo zabić!.. i jeszcze takiego Żeliszława...

Zapewne w nocy drapieżne zwierzęta trupa wypeszyły i poszarpały, ztąd nazajutrz sądzono tylko z odzieży, że to był Żeliszław.

A to nie był Żelisław, bo go karawana uwiozła ze sobą na wyleczenie...

Skończył. Dobromir słuchał pilnie, piersi jego były ściśnięte. Dopiero na końcu odetchnął.

— A więc Żelisław żyje! — krzyknął.

— Tego nie wiem, — odrzekł Bogusz, — bom później nic o nim nie słyszał, anim się mógł dowiedzieć, zkad była ta karawana.

— Jednak jest nadzieja, że może wróci.

— Może — rzekł Bogusz i urwał.

— Wie Witosława o tem?

— Nie — odpowiedział Bogusz, — nie mogłem jój tego powiedzieć, bo na cóż? Gdybym wiedział, że Żelisław żyje, byłbym jój to powiedział, ale tak... po cóż próżne obudzać w niej nadzieje?

Dobromir się zamyślił.

Masz prawdę, — rzekł po chwili — ale czemużes tego przedj nie powiedział?

— Ha!

— Bylibyśmy to w sąsiedztwie opowiedzieli i sąsiedzi byliby dawno z panem Skarbimirem uwinęli się z tym zbójcą.

— A to właśnie — zawołał Bogusz — od tajemnicy zależało życie Mścigniewa i Prokopa, ale też i moje. Jużby teraz mnie dawno na świecie nie było, gdyby Mścigniew miał chociaż najsłabsze podejrzenie, że wiem o jego zbrodni.

Dobromir powstał i zaczął chodzić po jaskini. Naraz przystanął i zwrócił się do Bogusza.

— I cóż ty o tem myślisz?

Bogusz wzdrygnął ramionami.

— Żeby to według mnie szło, — rzekł — tobym ja wiedział, co robić!

— Ano co?... gadaj człowiecze.

— Ja, zamiast się teraz troszczyć o Witosławę, której nie dopomódz, ale zaszkodzić można, poszedłbym do sąsiadów, opowiedziałbym im o zbrodni popełnionej na Żeliszawie, a ci stawiliby się wszyscy zbrojno, zwłaszcza, że mieliby jeszcze inny ważny powód.

— Ważny powód!... i jaki to?

— Ale możeby nie uwierzyli...

— Gadaj tylko, co to jest!

— Mścigniew nie jest Polakiem!... — rzekł Bogusz poważnie i stanowczo.

Dobromir cofnął się o dwa kroki.

— Człowiecze!... coś ty powiedział!... — krzyknął przerażony.

— Jeszcze raz powtarzam to samo: ani Mścigniew, ani Prokop nie jest Polakiem! — potwierdził Bogusz i głosem i giestem.

Dobromir jeszcze stał na miejscu, jak przykuły, nie mogąc wyjść z zadziwienia.

— Zkąd ty to wiesz? — zapytał po chwili.

— Mścigniew z Prokopem to jacyś dwaj zbójce, gdzieś daleko ze wschodniego kraju. Tam le-dwo uszli pogoni. Uciekli więc do nas do Polski i tu prowadzili dalej swe zbójckie rzemiosło. Przebywając w tych stronach, znaleźli Okop nie zamieszkały, przywłaszczyli go sobie i umieli tak się dobrze ukryć, że o tem nikt nie wiedział. Raz Mścigniew po pijanemu pokłócił się z Prokopem i obaj sobie zaczęli dawne czasy wymawiać... a jam to słyszał!...

— Ha!... — zawołał Dobromir, — teraz mi też wiele jasnego, co mi dotąd było ciemnym. Teraz też umiem sobie jego postęпки wytłómaczyć...

O! Boguszu, Boguszu! czemuś ty tego prędzej nie powiedział?... Ale lepiej późno, jak nigdy. Usłucham twój rady i zajmę się urządzeniem wyprawy na zbójców.

— Która się też uda!

— Mam nadzieję! — zawołał Dobromir, — o, Boże! jak ci wiele trzeba dziękować! Witosława żyje... Żelisław... może też żyje... — dodał trochę słabiej, — Bóg da, wszystko się może jeszcze na dobre obrócić.

— Kiedy rozpoczniecie?

— Dziś jeszcze, zawołał szybko Dobromir, — Skarbimir już tak dawno jęczy w niewoli.

— Biedny Skarbimir, — westchnął Bogusz.

— Pierwsze idę do Wszebora.

— On się ucieszy.

— Och, i jak! — potwierdził Dobromir, — z nim całą rzecz ułożymy. Ty tu zostaniesz i pielęgnuj się jak możesz. Zapasu masz dosyć, a tymczasem wróć.

W godzinę potem już Dobromir przedzierał się ku Zalesiu przez gęstwiny. Miał na sobie długą opończę, a za całą broń pod opończę ostry pugi-nał. Oprócz tego piersi jego okrywał gruby pan-cerz z łosiowej skóry. Z wierzchu jednak tego nie poznać i każdy uważałby go za jakiego podróżnego staruszka.

A mimo tego jeszcze Dobromir bardzo ostro-żnie szedł naprzód. Mianowicie na Krzyżówce przystawał, przysłuchiwał się. Ale wszędzie cisza, żadne nie grozi mu niebezpieczeństwo.

I nie dziw, że taki ostrożny. Oprócz Wszebora nikt w okolicy nie wie, że Dobromir żyje. Mają go wszyscy za umarłego. Widziano go między

trupami. Gdy później w ciemności wieczorniej dworzanie z Okopu trupów zakopywali, nikt się o niego nie troszczył i tak swoi jak nieprzyjaciele sądzili, że Dobromir w spółnej spoczywa mogile.

Wyszedłszy na brzeg lasu pod Zalesie, zdwoił jeszcze ostrożność. W Zalesiu Wszebor zostaje pod baczném okiem szpiegów Mścigniewa, którzy każdy krok jego śledzą. Gdyby wysledzono Dobromira i wysledzono jego stósunek do Wszebora, obaj jeźliby nie ponieśli śmierć, to przynajmniej gnść by gdzie w ciemnych lochach musieli.

Dobromir przekonawszy się, że nikogo w okolicy nie ma, doszedł do jednego odosobnionego drzewa. Wisiała tam gałąź sucha, przymocowana do innej świeżej gałęzi sznurem łykowym. Dobromir dobył pucinału, przeciął gałąź i powiesił ją na innem drzewie. Potem cofnął się w las, ale tak, aby mógł patrzeć na dwór.

Zwolna czas mu upływał. Dobromir się niecierpliwił, a jednakże z miejsca się nie ruszał i oka z dworu nie spuszczał, chyba że się tedy i owedy obejrzał w około siebie, czy czasem kto ciekawy się nie przybliży.

— Albo nie widzi, — rzekł sam do siebie, — albo też niebezpiecznie.

Słońce już zachodzi... zaszło, a Dobromir jeszcze na tem samem miejscu.

Nagle z okna jednego we dworze wypadła jakaś suknia, chwiała się czas niejaki przy oknie, poczem spadła na ziemię.

— Acha! — zawołał uradowany Dobromir, — dobrze!... Po tych słowach cofnął się w głąb lasu i legł tam na otwartej polanie pod krzakiem.

Noc zapadła. Dobromir co chwilę spoglądał na gwiazdy, a mianowicie dając baczność na dyszel niebieskiego woza.

— Północ, — rzekł sam do siebie z cicha, — teraz czas.

Powstał i znajomemi sobie drożynami doszedł aż pod sam parkan Zalesia. Tu była mała furtka. Dobromir zapukał trzy razy potrójnem uderzeniem. Furtka się z cicha otwarła.

— Wszebor?

— To ja, Dobromirze, chodź.

Wszebor schwycił Dobromira za rękę, wprowadził na dziedziniec, a potem zamknąwszy furtkę powiódł go do siebie. Tu zostali sami przy zamkniętych drzwiach i przebyli noc całą na naradzie.

Nazajutrz rano ani Dobromira, ani Wszebora nie było we dworze na Zalesiu. Powiadano, że Wszebor nagle wyjechał, nie powiadając dokąd, a o Dobromirze nikt oczywiście nie wiedział.

Minał już tydzień od tego czasu. Wszebor wrócił, ale go nikt nie śmiał pytać, gdzie bywał. Często on bowiem niespodzianie się oddalał i ta jego skrytość w przedsiębranych podróżach znajomą była nawet samemu Mścigniewowi. Ztąd też nikt na to nie zwracał uwagi.

Ale i Dobromir w tym samym czasie szedł od Zalesia ku swemu ustroniu. Było to rychło rano. Słońce co dopiero wstało i ożywiło całą naturę. Śpiew, gwar i wrzask w powietrzu. Dobromir jednakże na to nie zważa, bo całkiem co innego zajęło jego uwagę. Spostrzegł bowiem jakąś postać, która widocznie kryła się przed nim, nie z obawy zapewne napaści, gdyż Dobromir na napastnika

wcale nie wyglądał, ale w zamiarze uniknienia spotkania.

Dobromir jednym rzutem oka spostrzegł, że obcy był bez łuku, ale czy bez broni całkiem, tego przewidzieć nie mógł. Jednakże biorąc miarę ze siebie, domyslał się, że ma broń ukrytą, bo czasy były nadto niebezpieczne, aby się puszczać w podróż bez broni.

Dobromir wiedział dobrze, że obcy go spostrzegł. Zatem nie było powodu się chronić. Jednakże ostrożność nakazywała mieć się na baczności, aby nie być poznanym i zdradzonym.

Zapewne też to samo myślał obcy, bo chociaż nie całkiem zakryty, jednakże szedł naprzód z największą ostrożnością.

I drogę do siebie, którąby byli mogli odbyć nie skończywszy pacierza, odbywali niesłychanie długo. Co chwilę przystawali, co chwilę znowu parę krków postąpili naprzód. Chcieli przez to pokazać, że się wzajemnie nie boją, ale życzą sobie, aby jeden z nich z drogi uspił.

Naraz, jakby obaj przejęci tą samą myślą, usunęli się równocześnie na bok w las. Zdawało się to, jakby jeden drugiemu drogę przestępował. Dobromir się trochę zafrasował. Mężczyzna obcy był młody, rosły, silny, podczas gdy on już starzec wiekiem pochylony. Czuł w sobie młodzieńczy zapał i siłę, ale miał tyle rozsądku, że tej sile nie ufał.

Bóg wie, jakie myśli przeszły po głowie obcego, gdyż ten, widocznie porzucając swe zamiary ukrycia się, wyszedł prosto na starca. Ten zatrzymał się; serce mu zabiło.

Mężczyzna nadszedł. Przystanął przed starcem, zabierając się na zagadnienie, gdy w tém wydał okrzyk:

— Dobromir! — zakrzyknął, — żyjesz starcze? O szczęśliwe zdarzenie!...

Dobromir się zdumiał, wpatrzył się w rysy obcego, zakrzyknął również ze zdziwienia, a potem ujawszy rękę obcego, pociągnął za sobą i znikł w lesie.

W nieobecności Dobromira Bogusz pielegnował się, jak mógł. Silna jego natura wnet chorobę zwalczyła. Rana wprawdzie dolegała, ale on był na takie rzeczy już zahartowanym. Dłużyło mu się straszliwie. Wyjść nie mógł, nie tylko z obawy, aby nie był pojmanym, ale z obawy, aby Dobromira kryjówki nie zdradził. Nie umiałby on tak szczelnie kamienia za sobą zamknąć. Wprawdzie Dobromir pouczył go, jak się kamień odwała i jak się zamyka, aby w razie, gdyby nie miał już nigdy powrócić, Bogusz nie był żywcem pogrzebanym.

Całym jego zatrudnieniem było wyczyszczenie i wyporządzenie broni, której w jamie znajdowało się poddostatkiem. Zdało się, że Dobromir założył tu wielki jej skład. Topory, miecze, łuki, oszczepy, maczugi.. w ogóle, jakie się tylko można było zapomyśleć. Na ten skład była osobna komora, a w niej każdy rodzaj broni miał swe osobne miejsce. Na ścianach wisiały nawet zbroje.

Czy Dobromir już tu tę broń zastał, czy też zwolna jamę w nią zaopatrzył, tego Bogusz wiedzieć nie mógł, domyślał się jednakże, że zapewne z Wszeborem broń tę dopiero poznosili. Wskazywały na to nowe łuki, topory świeżo ukute i na-

wet niepotrzebowane. A strzały musiał Dobromir sam wyrabiać, bo nie tylko wszystkie znajdujące się w jamie kołczany były pełne, ale leżało ich jeszcze takie mnóstwo, że możnaby niemi uzbroić wcale pokąźny orszak.

Właśnie był Bogusz zajęty wydobywaniem rdzy z toporu, gdy usłyszał szelest. Od czasu, kiedy Dobromir odszedł, słyszał szelest po wiele razy, ale to były zwierzęta przedzierające się przez gęstwinę nad jamą, i ten szelest był mu już całkiem znajomy.

Teraz słyszy inny .. nie może on pochodzić od zwierząt. Serce mu zabiło. Jest to Dobromir, czy nie?...

Kamień zwolna się uniósł, światło dziennie zabłysło, a Bogusz ku wielkiej radości ujrzał Dobromira, spuszczonego się otworem.

Ale jakże się zadziwił, gdy za nim spuścił się jakiś drugi mężczyzna. Któżby on był? Nieprzyjaciel być nie może, boby go Dobromir nie przyprowadził. Już chciał zapytać Dobromira, ale ten właśnie odwrócił się do zawalenia kamienia.

Tymczasem obcy zdumiony oglądał się po jamie, przyzwyczajając oczy swe do mdłego światła, jakie tu panowało. Widocznie przejęty był dziwnem uczuciem, ale nie wiadomo jakim. Twarz jego z każdym uderzeniem serca zmieniała wyraz i nie można było żadnego stałego uchwycić momentu.

Bogusz tymczasem, niespostrzeżony od przybyłego, stał w grubszej ciemności pod ścianą. Miał za to tem większą sposobność badać jego twarz. Jakieś przypomnienie zaczęło mu się nasuwać....

przetarł ręką po czole... to samo wspomnienie, przetarł ręką przez oczy... to samo.

Nie śmiał jednakże odważyć się wyjawić swęj myśli, gdyż w przybyłym uznawał znajomego, którego dawno już i daleko tu ztąd w jednęj okoliczności poznał. Zkądby się tu wziął?... Jednakże wspomnienie to tak się silnie w nim obudziło, że go nie mógł już w sobie zatrzymać. Poruszył się, aby chociaż po cichu zapytać Dobromira, co on za jeden, ten przybyły. Ale w tej chwili na szelst, który powstał z tego poruszenia, obrócił się nieznajomy do niego pełną twarzą.

Już się Bogusz nie mógł wstrzymać. Okrzyk głośny zdziwienia wyrwał mu się z piersi.

— Damian! — zakrzyknął.

W tej chwili Dobromir stanął obok przybyłego.

XIII.

Kiedy Jusuf przestąpił próg futoru, do którego zamierzał wstąpić, kiedy go stara niewiasta powitała, wyszedł naprzeciw niemu starzec siwobrody.

— Witajże Damianie! — zawołał.

Jusuf się zadziwił.

— Zkąd wy mnie znacie? — zawołał.

— Damianie! — odrzekł starzec, — któżby cię nie znał?

Tymczasem staruszka starła ławę i zawezwała Damiana, aby usiadł. Następnie pokreśliła się około wieczery.

— Widać, że z daleka idziesz. — rzekła.

— O, matko, — odrzekł Damian, — bardzo z daleka. Nie chciałem nigdzie wstępować, jednakże tak jestem strudzony, że nóg już wcale nie czuję.

— Damianie, — zawołał starzec, — dobrześ zrobił, żeś do nas wstąpił. Tu ztąd do Żurawina jeszcze daleka droga, tak wnetbyś się tam nie dostał.

— Czy wy znacie Żurawin? — zapytał Damian, wpatrując się w starca, — ja was przecież nie znam.

— Też nie możesz, — odpowiedział starzec, — raz nas tylko widziałeś, a to tak krótko, że nas w pamięci swój zatrzymać nie mogłeś.

— Kiedyby to być mogło?

— Ha! to było wtedy, kiedy Tatarzy Żurawin napadli.

— Acha!

— Wtenczas poszliśmy tam na wesele Janka z Marysią, pamiętasz?

— Pamiętam, toć to Maryś była córką poczciwego Żegoty.

— Tak, tak, — zawołał starzec, kiwając głową, — smutne to wspomnienie.

Damian się zerwał.

— Czy Tatarzy weszli na ostrów? — zakrzyknął.

Starzec strząsnął głową.

— Nie weszli, i ostrów ocalał, — rzekł, — ale ile to krwi kosztowało...

— A Janko nie zabity?

— Także nie, tylko był cięty w głowę; wyzdrowiał jednakże.

— Bogu dzięki! — westchnął Damian i usiadł na swoje siedzenie.

— Damianie, — rzekł znowu starzec, — tobie wszyscy zawdzięczają swe ocalenie. Płakano po tobie, sądono bowiem, że cię albo zabito, albo uprowadzono do niewoli.

W nocy Skarbimir nadstawił uszu... słychać zbliżające się kroki. O! domyslił się, to zapewne Mścigniew idzie sztydzić z niego! Drzwi się ze zgrzytem otworzyły, promień światła buchnął i oświecił wilgotny loch. Skarbimir na chwilę zamknął oczy, nie mogąc znieść blasku, aż wreszcie je otworzył, bo musi wiedzieć, kto i po co przyszedł. Spojrzał i jednym skokiem stanął przed córką, jakby w jej obronie.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się Mścigniew, — otóż to miejsce, gdzie się tobie i twojej córce należy. Myślałeś, że ramię moje za słabe i nie odzuka tej tam czeczotki, która uciekła przedemną. Nie szkodzi, może się teraz nabyć w moim dworze. Nie chce w moich komnatach, niech zgnije w lochu!

— Zbójco! — krzyknął Skarbimir, — przyszedłeś się naigrawać? I ty myślisz, że za twe nieczne postęпки nigdy nie nastąpi kara?

— Milczałbyś! — zawołał obojętnie Mścigniew — pewnie ci jeszcze za dobrze! Namysł się i daj mi znać, kiedy mi oddasz Witosławę za żonę, a z nią zrzeczesz się na zawsze praw do Góry i Zalesia.

— Nigdy! zbójco! — wrzasnął Skarbimir, — nigdy się tego nie doczekasz.

— Ha! — zawołał Mścigniew, — masz czas, dopóki księżyc znowu pełnią nie zaświeci. Wtenczas albo przystaniesz na me żądanie, albo twój trup zawiśnie na szubienicy, którą każę wystawić na Krzyżówce!... To moje ostatnie słowo.

Odwrócił się, wyszedł, za nim klucznik, i drzwi się zatrzasły, zapory zgrzytły.

Skarbimir z Witosławą pozostali do głębi prze-
jęci w smutku, w ciemności...

Księżyc coraz rośnie i pełnia jutro, pojutrze. Na obszernej polanie w lesie mnóstwo rozmaitego ludu, a wszyscy zbrojni: jedni pieszo, inni konno; jedni błyszcą zbroją, inni tylko mają maczugę. A ustawicznie nowi napływają i ciągną nurkiem w lesie, że można chodzić wszelkimi leśnymi drogami, a nie pomiarkuje się, co się tam w głębi dzieje.

Światło księżyca srebrzyste migoce na zbrojach i na wyostrzonych toporach. Dobromir sam dziś już nie w opończy starca, ale w skórzaną kurcie, z czapką skórzaną, której tylna część spadała aż na plecy, uzbrojony łukiem, toporem i mieczem, chodzi niby król jaki pomiędzy druzyną.

A może on też być dumnym ze swego dzieła, bo dzisiejszy najazd na Okop to jego sprawa, to jego robota. On umiał przedrzeć się do okolicznych sąsiadów i umiał ich zjednać dla Skarbimira i Żelisława. Ze żalem wyrzucał sobie każdy, że jakimś obcemu zbójcy powierzono i dopomóżono do wdarcia się w taki majątek. Z oburzeniem opowiadano sobie niecny czyn jego względem Żelisława. Wiedzano także, że Mściwniew oprócz Skarbimira trzyma także uwięzioną Witosławę.

— Jak mi Bóg miły, Żelisławie, — wołał jeden w zbroi, — jutro Skarbimir z Witosławą będzie na Górze.

— Żelisławie, nie na próżno zmartwychwstałeś, — wołał inny, — damy mu nauczkę!

— Nauczkę?... a to co? oduczymy go zbójectwa na zawsze !...

— Tak, to mi się podoba!

— Ciach! ciach! i koniec.

— Zobaczymy.

— A co zobaczymy? czy waść myśli, że nam się obroni? albo uciecze?

— Ani to, ani to, — odpowiedział zagadniony, — ale go lepiej powiesić, tak jak on chciał powiesić Skarbimira.

— Zbójca!

— Ha! ha! ha!

— Z czegoż się śmiejesz?

— Ano Mścigniew postawił przecież na Krzyżówce szubienicę! nie wiecie?

— Nie.

— Ale dla kogo?

— Ha! ha! ha!... dla siebie.

— Hura!

— Dla siebie.

— A niech was z waszym konceptem!

Tymczasem w samej rzeczy tak było. Na Krzyżówce już od dwóch dni stoi nowiuteńka szubienica. Ale kogo mają na niej powiesić, tego Mścigniew nikomu nie powiadał. Ukradkiem szepitano sobie to i owo, ale napewno nikt nie powiedzieć nie umiał.

Północ nadeszła. Żelisław wstąpił na gruby pień. — Mości panowie; — zawołał, — wiecie, że Dobromir w moim imieniu sprosił was wszystkich, abyście pomścili krzywdy nieszczęśliwego Skarbimira. Wiecie, że nie w zamiarze ukrzywdzenia sąsiada przygotowaliśmy najazd, tylko w świętej sprawie dopomożenia uciśnionym i ukarania zbro-

dniarza, który już dawno wart szubienicy, i który swemi czynami sprawił hańbę naszej okolicy. Idźmy tedy w imię Boże, a zwyciężymy!

— Zwyciężymy! — ozwano się.

— Hura!

— W imię Boże.

— Niech żyje Żelisław!

— Niech żyje Dobromir!

I ruszono się do pochodu. Właśnie ranna zorza oświeciła wschodnie niebo, gdy mijali Krzyżówkę.

— A owóż szubienica! — zawołano.

— Ha! będziemy mieli wygodniej.

— Czemu?

— Bo już sami stawiać nie potrzebujemy.

— Może Żelisław nie pozwoli go powiesić.

— Zobaczymy.

W cichości posuwali się coraz dalej, a wszyscy pragnęli copredziej uderzyć na znienawidzony Okop. Przy wschodzie słońca stanęli na brzegu lasu, aby potem nagle hurmem przypuścić szturm.

W tem ujrzeli od Okopu zbliżającego się jakiegoś człowieka.

Wstrzymali się, bo to zapewne poseł.

W chwili kiedy pochód ruszył z polany, gnał ku Okopowi jeździec na koniu. Dopadł do bramy i zaczął rumotać, małe okienko przy bramie się otworzyło.

— Któż tam? — zapytał jakiś głos.

— To ja, wpuszczajcie.

Przybyły musiał strażnikowi być znajomym, gdyż bez dalszego badania otworzył bramę i wpuścił jeźdźcę na dziedziniec. Ten zeskoczył z konia.

— Do broni! — krzyknął.

— Co ci się marzy? — zawołano, — żebyś lepiej nie robił hałasu.

— Do broni! — powtórzył jeździec, — Dobromir z wielką liczbą najezdników idzie na Okop.

Słowa te wywarły na słuchaczach przykre wrażenie.

— Widziałeś?

— Widziałem.

— Ilu ich jest?

— Nie było czasu liczyć... Czy pan śpi?

— Zapewne.

— Trzeba go zbudzić.

Po tych słowach pomknął do dworu. Strażnicy spieszenie udali się na swe stanowiska.

— Djabłaż to dobrze! — zawołał jeden do drugiego.

— Jeżeli prawda, to źle, — odrzekł drugi, — nie spodziewano się niczego i nasi ani w Zalesiu, ani na Górze o niczym nie wiedzą.

— Ale może to nie prawda.

— Ba! nieprawda! dawno się tego spodziewałem.

— Powiadano, że Dobromir nie żyje.

— Tak powiadano, ale nie dawno widziano go kilka razy, tylko nikt się nie mógł dowiedzieć, gdzie on mieszka.

— Żeby go bies był porwał.

— Ano żeby.

Tymczasem pół pijany, pół senny Mścigniew na wieść o napadzie wypadł z Prokopem na dziedziniec. Wściekle wyglądał, zdawało się, jak gdyby stracił głowę. A może też tak poniekąd było. Zwykle bowiem liczną załogę utrzymywał, a teraz jakby na jakie nieszczęście posłał wielu na Górę

i wielu do Zalesia. Pozostało mu się mało, z którymi wprawdzie dłuższy czas bronić się może, jeżeli siła nieprzyjaciela nie będzie zbyt mocną. Tymczasem spodziewał się odsieczy od Zalesia i Góry.

Postanowił ile możności powstrzymać przypuszczenie szturm aż do białego dnia, a tymczasem dowiedzą się o najeździe jego przyjaciele.

Ustawił załogę w szyk bojowy jak wypadało, a tymczasem zawezwał do siebie jednego z najprzebieglejszych i najwięcej śmiertelnością gardzących dworzan.

— Kuźma! — rzekł! — pójdziesz do nieprzyjaciół jako poseł odemnie, rozumiesz?

— Rozumiem panie, to jest prosto na suchą gałąź! — odrzekł obojętnie.

— Wielkaby szkoda nie była, — odpowiedział z szatańskim śmiechem Mścigniew, — ale dla ciebie w piekle nie napalono. Więc pójdziesz i powiesz Dobromirowi, że skoro przypuści szturm na Okop, natychmiast dam znak, aby Górę i Zalesie spalono, a mieszkańców w pień wycięto. Ruszaj a spraw się dobrze.

— Ale jak mi założą lipowy łyczek!...

— A ruszajże! — krzyknął Mścigniew, — wszystko jedno, czy tam, czy tu. Jeżeli nie chcesz, to i u nas na Okopie łyka nie braknie.

Kuźma zrozumiał. Prawda, wszystko jedno. A nawet większa nadzieja, jeżeli pójdzie, bo Dobromir nie taki skory do wieszania, a gdyby nie usłuchał rozkazu, to już strzyzek pewny.

W chwili, kiedy najeźdźnicy wychodzili z lasu, on też wychodził z bramy i śmiało szedł naprzód, jakby się nie potrzebował niczego obawiać.

Kiedy nadszedł, obstało go kilku.

— Czego chcesz? — pytano.

— Nic wam do tego! ja chcę mówić z Dobromirem.

— A, z Dobromirem!

— Owóż on.

Kuźma wystąpił naprzód kilka kroków ku Dobromirowi.

— Mój pan mnie przysła z oznajmieniem, — rzekł mocnym głosem, — że jak uderzycie na Okop, on natychmiast da znak, aby spalono Górę i Zalesie, a mieszkańców w pień wycięto.

To rzekłszy, obejrzał się dumnie na około. Ale śmiech pusty był mu tylko odpowiedzią.

W tem wyskoczył Bogusz.

— A! — krzyknął, — wszakże to Kuźma?

Kuźma się cokolwiek zakłopotał.

— A on, on, — rzekł, — aleś się wnet wylizał.

— Na gałąź z nim! — zawołano.

— Na gałąź!

I kilku doskoczyło, aby go poprowadzić pod drzewo. Kuźma się nie bronił, ale zbladł.

— Dobromirze! — zawołał Bogusz, — ten człowiek ze mnie pasy darł, ale... daruj mu życie.

— Odstąpcie od Kuźmy, — zawołał Dobromir uradowany, że ma powód do ulaskawienia, — niech sobie Bogusz z nim robi co chce.

Po tych słowach odszedł do Żelisława. Bogusz zaś schwycił Kuźmę za rękę i odprowadził na ustronie.

— Nie bój się teraz niczego, — rzekł Bogusz, — jesteś pod moją opieką. Darłeś ze mnie pasy, a ja ci za to życie uratowałem...

— Dobry z ciebie człowiek, Boguszu! — rzekł Kuźma trochę ciepło, — za moje życie winienem tobie i Dobromirowi wdzięczność. Pójdź ze mną.

— Gdzie?

— Dowiesz się; ale się spiesz, bo nie ma czasu.

Kuźma odprowadził Bogusza kawałek na ustroniu, poczem zdjął ze siebie kurtę, odział w nią gałąź, wsadził na to czapkę i niby człowieka powiesił na gałęzi w takim miejscu, aby to można widzieć Okopu.

Potem obaj z Boguszem zniknęli w lesie.

Nic o tem nie wiedział ani Dobromir. ani Żeliszaw. Pochód ruszył naprzód i dochodził do odległości strzału, kiedy znowu się brama otworzyła, wypadł goniec i pędem biegł im naprzeciw. Wtrzymano się nieco z ciekawości.

— Czego chcesz?

— Gdzie Dobromir! — krzyknął hardo goniec. Dobromir wyszedł.

— Mój pan przysłał wam to, — rzekł, podając coś w szmatkę zawiniętego.

— Co to jest? — zawołał rozwijając zawiniątko.

Był to delikatny serdeczny palec niewieści z pierścieniem. Całkiem świeży i świeżą krwią zbroczony.

— Gadaj, co to? — wrzasnął zbladły Dobromir.

— To serdeczny palec Witosławy, — odrzekł spokojnie goniec, — a jeśli uderzycie, mój pan przysłał wam jej głowę!

Okrzyk zgrozy wyrwał się wszystkim z piersi. Dobromir pobiegł chwiejącym się krokiem do Że-

lisława i podał mu zawiniątko, oznajmiając co to znaczy.

Żelisław zbladł jak czecheł śmiertelny.

— To jój pierścień, — rzekł drżący Dobromir, — o panie, ten zbójca gotów dotrzymać słowa.

Żelisław schwycił się za głowę.

— Cóż pocniemy? — zawołał.

— Trzeba się cofnąć.

— O ten szatan!

Nakazano odwrót, orszak cofnął się pod las, a goniec wrócił na Okop.

Mścigniew z wewnętrznem zadowoleniem widział, że mu się szatański pomysł udał.

— Ho! — zawołał wesół, — Kuźmie bies karku nakręcił, ale za to ostatnie pomogło. Prokopie, pójdźmy sobie do komnaty.

I śmiech powstał na dziedzińcu, a Mścigniew kazał wystawić kilka gąsiorów trunku.

Kiedy pijatyka w najlepsze trwała nagle straszliwy okrzyk zabrzmiał od lasu. Cały orszak pędem uderzył na Okop. Zerwali się wszyscy do broni, ale już było za późno.

Mścigniew wściekły krzyknął na Prokopa.

— Chodź do lochu, pošlemy im głowę Witosławy!... Skarbimira posiekać!...

I skoczyli obaj, kazali klucznikowi co prędzej otworzyć zamki... drzwi ze zgrzytem się otworzyły... wpadli...

Ale loch był pusty...

XV.

Zdawałoby się, że Skarbimir, mając Witosławę przy sobie, czuł się szczęśliwym. Tak zdawałoby

się. Serce jego dotąd było ściśnione boleścią obawą o los córki. Jednakże pewność, że się nie znajduje w ręku Mścigniewa, napawała go słodyczą.

A teraz?... Oto tam na słomie leży wyciągnięty ten kwiatek, który co dopiero z pączka się wywinał, który pełen życia wyciągnął swe wonne listki ku słońcu... a teraz? A teraz porzucony w ciemnym lochu oczekuje rychłego zniszczenia. Oby jednakże to zniszczenie jak najprędzej nastąpiło! Śmierć... jedynie śmierć jest dla niego i dla niej! ratunkiem, jedynie rychła śmierć życzyliem i nadzieją.

Skarbimir ponuro patrzył w przyszłość. Mścigniew zagroził, że kiedy do przyszłej pełni księżycowej nie da przyzwolenia na ślub Witosławy i nie zrzecze się Góry i Zalesia, śmierć go czeka haniebna. A mógłże on to?

— Ojczy! — szeptała Witosława, — nie gub się!... ja i tak długo żyć nie będę.

— O dziecko moje, — odszepnął Skarbimir, — próżne twe namowy. Wiem, że dzień ślubu twego z tym zbójcą, to zarazem dzień twój śmierci... Czyż mogę tedy twą śmierć przyspieszać? czyż mogę zmuszać Boga do odebrania ci pierwój życia, aniżeli sam to zamierzył?

Zapewne rano, bo coś na kształt światła widać u góry w otworze, służącym za okienko. W ich więzieniu ciemno, ale Skarbimir jednak widzi cztery gołe ściany i widzi każdy czerniejący kąt.

Ich uszu dochodzi jakiś przytłumiony gwar, zapewne zgromadzenie na dziedzińcu.

— Mścigniew pewnie idzie... o Boże! — zajęczała Witosława.

— Nie, — odpowiedział Skarbimir, — to daleko od nas, to na dziedzińcu... Słychać pojedyncze wykrzykniki...

— Cóżby to znaczyć miało?

Skarbimir zamilkł, ale serce mu zapukało gwałtownie. Och! czyżby jego przyjaciele przybywali mu z pomocą? Och!...

Już usta otworzył, aby to swe przypuszczenie Witosławie powiedzieć, ale zamilkł i zadrżał gwałtownie. Cóżby to pomogło? Czyżby Mścigniew wydał ich dobrowolnie?... czyż nie utopiłby poprzednio miecza w ich piersi?... Mścigniew nie mógłby się od zwycięzców niczego spodziewać, więc swą śmierć pomściłby na nim i na Witosławie.

— Ojczy, — szeptała znowu Witosława, — czemuś taki milczący?... czy obawiasz się czego gorszego od śmierci?... Nic bowiem już gorszego, jak dotąd, spotkać nas nie może.

— Och! moje dziecko... — zająknął, ale nie dokończył.

Witosława uniosła się na słomie. Skarbimir spojrział na nią i wyraźnie dojrzał jej świecące oczy.

— Cóż ci to? — zapytał nagle.

— Och! ojczy! — zawołała Witosława głosem zdradzającym jakąś pociechę, — nic nam złego stać się nie może. Patrz...

Tu coś podawała.

— Cóż to jest? — zapytał przerażony jej dziwnym głosem Skarbimir.

— To sztylet, — odrzekła, — umiałam go dobrze ukryć. Odebrano mi wszystko, a nawet pierścień z palca ściągniono, ale tego najdroższego

skarbu nie odebrano. Czyż jeszcze mamy przyczynę obawiać się czego gorszego od śmierci?

Skarbimir trzymał w drżącej ręce mordercze narzędzie, ale ani słowa wymówić nie mógł.

— Dzisiaj losy się nasze rozstrzygną, — mówiła, — weź mój ojciec ten sztylet, a kiedy tego będzie potrzeba, utop go w mem sercu...

Skarbimir zakrzyknął przeraźliwie. W głowie mu zabębniło, przed oczyma zabłyśły światła. Schował jednak szybko mordercze narzędzie w zanadrze, a potem wziął Witosławę w swe ramiona.

— Moje najdroższe dziecko, — zawołał wśród łez, — sam Bóg zapewne natchnął cię taką myślą i podał ci sposób ujęcia rąk Mściwnie, a mnie oszczędzenia haniebnej śmierci.

I długo ją trzymał w swych ramionach...

Nagle tuż koło nich w ścianie zrobił się jakiś szmer. Witosława przytuliła się mocniej do swego ojca, a Skarbimir ściągnął rękę do pochwycenia sztyletu. Wzrok swój wyteżał na ścianę.

Szelest rósł, wzmacniał się, jakby kto po kamieniach skrobał żelazem. Naraz jeden z kamieni począł się wysuwać i odchylił się, a czarny jak kruk otwór ukazał się. Skarbimir ledwo miał czas porwać Witosławę i uskoczyć z nią na bok. Dobył sztyletu i czekał, co to z tego będzie, a serce biło mu gwałtownie.

W otworze ukazała się najprzód głowa, a za nią całe ciało jakiegoś człowieka. Ten wyszedł i stanął wyprostowany.

— Nie bójcie się, — szepnął ów człowiek — niosę wam ratunek i zbawienie.

— Ratunek.. zbawienie... — wybełkotał Skarbimir, nie wiedząc, czy to sen, czy rzeczywistość... — ktoś ty jest?

— Mniejsza o to, — odrzekł człowiek — teraz spieszcie się... uciekajmy...

— Gdzie? dokąd?... — wybełkotał mimowoli Skarbimir.

— Nie ma czasu do gadania, — rzekł prędko tajemniczy człowiek, — szybko, dalej... Mścigniew może tu wniknąć każdej chwili...

— Och!... — zawołała Witosława, — ten głos... ojciec... temu głosowi można zaufać...

— Znasz go?

— Teraz nie ma czasu, — zawołał prawie rozpaczliwie obcy, — czas nagli, dalej...

Po tych słowach popchnął Skarbimira ku otworowi, kazał się wcisnąć naprzód, za nim Witosława, a sam został do zawalenia kamienia.

— Czołgajcie się naprzód, — szepnął, — ja zaraz poczołgam się za wami.

Weszli w otwór i wazką jamą czołgali się naprzód, podczas gdy w tyle nieznamy człowiek kamień napowrót wprawiał i ustawił tak, jak był przedtem. Potem poczołgał się za nimi.

Powietrze duszne, ziemne, zapierało pierś Skarbimirowi i utrudniała oddech. Więcej jeszcze cierpiała Witosława, bo brak powietrza odbierał jej zmysły. Mimo tego czołgano się dalej, chociaż ostre kamienie kaleczyły im ręce i kolana, i ostre wazkie ściany jamy rozdzierały im ramiona.

Po niejakiem czasie Skarbimir uczuł, że go ktoś schwycił za głowę. Mimowolnie zakrzyknął.

Cicho! — zawołał głos jakiś, — to swój. Ostrożnie naprzód.

Witosława również wydała okrzyk na głos ojca, i zatrzymała się nieco.

— Naprzód, naprzód, — naglił z tyłu czołgający się, — nie ma potrzeby obawy.

I znowu Witosława po krótkim czołganiu się zakrzykła, bo i ją ktoś pochwycił, z otworu wyciągnął i postawił na nogi.

Człowiek w tyle sam zeszedł.

Była w tém miejscu dziura, zagłębienie na wysokość człowieka. Nie wiedzący o tém, wypadłby z jamy na głowę i strzaskałby sobie na ostrych kamieniach czaszkę. Stał tam jednak ktoś, który Skarbimira i Witosławę ujął i zesadził.

— Teraz za mną, — szepnął drugi obcy, — panie Skarbimirze, trzymajcie się mego pasa, a Witosława niech się trzyma ojca.

Wykonano to i pochód ciemnym gankiem ruszył gęsiego dalej.

I znowu otwór się zwał, zniżał, aż trzeba było czołgać się, jak poprzednio. Ale powietrze zaczęło już być świeższem. Więźniom serca gwałtownie biły, a uczucia były w takim zamieszaniu, że nie wiedzieli, czy to wszystko jest rzeczywistą prawdą, czy też tylko złudzeniem.

Naraz Skarbimir krzyknął. Czołgający się naprzód człowiek już z jamy wyszedł, a on uniósłszy głowę, ujrzał tuż przed sobąienne światło... Już głowę wydobywał... obcy człowiek pochwycił go za barki i wyciągnął. Skarbimir ukląkł i oczy swe zwrócił na otwór. Człowiek pochwycił również Witosławę, wydobył, a ta z okrzykiem: ojcze, ach ojcze! padła mu w ramiona.

I oboje runęli zemdleni ze zbytniego wzruszenia na murawę.

— Kuźma! — zawołał pierwszy obcy, — Bóg ci to wynagrodzi... uratowani! Weźmij Skarbimira na barki, a ja Witosławę, i spieszymy do Dobromira...

— I ty, Boguszu, — odrzekł zagadniony, — dobrze się sprawiłeś, że tak zaraz pojąłeś moją naukę. Ale dalej...

Kuźma zarzucił tedy starca na ramię, Bogusz ujął Witosławę i spiesźnie zaczęli uchodzić, przedzierając się przez krzaki, zasłaniające tajemny ganek do dworu na Okopie.

— Tyś ze mnie darł pasy, — rzekł Bogusz, — ale za to, żeś zdradził tobie tylko wiadome wejście do więzienia, dałbym sobie jeszcze odrzeć całe plecy... chcesz?

— Ano owszem, — odrzekł Kuźma ze śmiechem, — ale widzisz sam, że teraz do tego nie ma czasu... Jutro, lub pojutrze... bo wiedz, że lubię drzeć pasy, a jeszcze z ciebie, co masz takie miękkie mięso...

— Żeby nam aby nie umarli, — zakłopotał się Bogusz, spoglądając na jeszcze omdlałą Witosławę.

— A gdzie tam! — odrzekł Kuźma, — skoro skropimy trochę wodą, to ożyją, a nie, to kawałek paska... jak to wiesz, zaraz do życia doprowadzi.

Wśród takiej, według ich mniemania, zajmującej rozmowy, dobiegli do orszaku. Nie mało się zadziwiono, gdy ujrzano dwóch mężczyzn, dźwigających jeden mężczyznę, drugi niewiastę. Zdawało się, że niosą nieżywych.

— Hej, Dobromirze! — zawołano, — a patrzcie no, co to znaczy.

Dobromir wytrzeszczył oczy.

— To Bogusz — rzekł sam do siebie — ale kogóż on dźwiga?

— A ten drugi to Kuźma — wrzeszczano.

A ci już też dochodzili.

Skoro Dobromir spojrział na przybyłych, wydał okrzyk tak przeraźliwy, że cały orszak zbiegł się do niego.

— Cóż to? — zakrzyknął Żelisław.

— O panie, patrz!... — zdołał tylko odpowiedzieć.

Żelisław spojrział.

— Witosława!... Skarbimir!... — wykrzyknął z całej piersi i padł do skrwawionych rąk Witosławy.

Zajęto się szybko trzeźwieniem i niedługo tak Skarbimir, jako i Witosława przyszli do siebie. Witosława usiadła i machinalnie pozwalala sobie pilnie oglądać i całować swe ręce. Ona na nie nie uważała, tylko ze łzami patrzała na ojca, witającego się z Dobromirem, Wszeborem i znajomymi sobie sąsiadami.

W tém nadstawiła uszu... jakiś słodki, rzewny dźwięk odbił jęj się aż w sercu.

— Witosławo!...

Spojrzała, oczy wytrzeszczyła jak szeroko.

— Żelisław! — wykrzyknęła i znowu popadła w omdlenie.

Żelisław rzucił się do ratowania, ale to było zbyteczne, bo już Witosława się zerwała i z okrzykiem radości ramiona swe splotła około szyi młodzieńca.

I znów dwa okrzyki, pełne niebiańskiej rozkoszy...

— A tak też było, — mruknął Damian.

— Tak było i widzę, żeś z jasyru powrócił. Czyś uciekł?

— Udało mi się.

— Bogu dzięki.

Tymczasem staruszka zastawiła wieczerzę.

— Więc zjedzmy teraz, — rzekł starzec, — co Bóg dał, a potem mi opowiesz twoje przygody.

Damian już dawno nie jadł nic tak smacznego jak dzisiaj. Proste potrawy smakowały mu niby najwykwintniejsze przysmaczki, a przy jedzeniu samém już nawet czuł, jak mu sił przybywało.

Skończyła się skromna wieczerza, a potem Damian zaczął opowiadać swe dzieje od chwili, kiedy go Tatarzy wprowadzili.

— Zmysłły mnie prawie opuszczały, — mówił, — kiedy mnie, przywiązanego do konia, wiedziono do obozu tatarskiego. Och! stokroć wolałbym, aby mi był Tatar mieczem rozplatał głowę, aniżeli miałem jęczeć w jasyrze, niby bydłę. Jednakże trzeba się było poddać losowi. Miałem jeszcze nadzieję, że może dowódzca tatarski każe mnie rozsiekać. Ztąd umyśliłem, kiedy mnie do obozu wprowadzą, rzucić się na niego, poszarpać zębami, a tém wprowadzić Tatarów w wściekłość.

Niestety! oni to może przeczuwali, dla tego mnie związanego na rękach i nogach postawiono przed dowódcą. On długo coś gadał, ale ja tego nie zrozumiałem, poczem mnie odprowadzono na bok i dano kawał końskiego mięsa, jeszcze pół surowego, na pożywienie. Nie przyjąłem tego, i też dalej o mnie się nie troszczono.

Nie długo zerwano się do koni i cały oddział w pędzie umykał w głąb kraju tatarskiego. Sta-

nęliśmy na miejscu i mnie przeznaczono na niewolnika dla baszy. Podobno mnie sam sobie wybrał. Byłem zajęty kopaniem w ogrodzie od samego rana do wieczora. Na noc zamykano mnie z innymi w ciasnej, ciemnej komórce. Na posłanie mieliśmy kilka garści słomy i nic więcej. O! straszne to były noce. Powietrze samo było gorące, a my w tej skrzyni ledwo nie udusiliśmy się z duszności i zaduchu.

Rano już nasz dozorca stał z batem, aby nim leniwych do pospiechu pobudzić. O, jakem się starał być pierwszym, aby nie być uderzony batogiem!... nie z obawy przed bólem, ale z obawy, że wtedy zapomniabym, iż jestem niewolnikiem.

Pożywienie nasze było nędzne i obrzydliwe. Niewolnicy tatarscy rozkoszowali się w skisłym kobyłym mleku i ze żarłocznością pożerali cuchnące ściervo końskie. Niestety! ja się do tego przyzwyczaić nie mogłem i tylko z obawy przed batogiem jadłem, abym z głodu nie umarł.

Basza był bardzo okrutnym. Najmilszemu jego zatrudnieniem było przychodzić do ogrodu przed południem, wziąć batog z ręki dozorcey i według upodobania tego wyciąć przez krzyże, owego przez głowę.

Po niejakiem czasie mego pobytu, kopałem sam na uboczu. Kilkanaście kroków odemnie kopało dwóch innych niewolników. Nad nimi właśnie stał dozorca. Basza według zwyczaju wziął batog w rękę i zbliżył się zaraz prosto do mnie. Nie rzekłszy ani słowa, uderzył mnie silnie przez plecy.

Krew się we mnie zagotowała, wziąłem narzę-

dzie do góry, aby mu łeb na dwoje rozplątać. Basza zbladł, widząc się zgubionym.

W czas się jeszcze opamiętałem. Spuściłem narzędzie i krzyknąłem:

— Baszo! twe życie w mojem ręku... ale ci je daruję dla miłości Zbawiciela świata i że jesteś bezbronnym.

Basza widocznie chciał coś przemówić, ale w tej chwili owi dwaj niewolnicy jednym uderzeniem ostrych narzędzi powalili trupem dozórce i już stali obok baszy, chcąc i jego zabić. Twarze ich były dzikie, z oczu tryskała wściekłość, a z ust toczyła się piana.

Basza krzyknął przeraźliwie, ale śmierć jego była nie unikniona.

W tém nagle stanąłem pomiędzy nimi a baszą.

— Precz! — krzyknąłem, — to morderstwo! Jam Polak, i na morderstwo nie pozwolę.

Oni uderzyli na mnie.

— Zdrajco! — zawołali, — tyś niewolnik taki, jak i my. Zabijmy tego psa baszę... w ogrodzie nie ma nikogo, łatwa dla nas ucieczka.

— Nie! — krzyknąłem, — on bezbranny, nie pozwolę go zamordować!

— Giaur!... — wrzasnął jeden.

— Pies niewierny! — wrzasnął drugi.

— Zabijmy go!

Nie było innéj rady, musiałem się bronić. Jednemu strzaskalem ramię, drugi legł ogłuszony w głowę.

Dopełniwszy mego obowiązku, stanąłem na chwilę nieruchomy, a potem zabrałem się do méj pracy, oczekując, co dalej nastąpi.

— Giaurze! — zawołał na mnie basza.

Wyprostowałem się i spojrzałem na niego. Twarz jego była surowa, poważna.

— Giaurze, chodź za mną.

Ująwszy narzędzie, postąpiłem kilka kroków.

On stanął, a wskazując na niewolnika ze strzaskanem ramieniem, krzyknął:

— Zabij go!

Odsunąłem się wtył.

— Nie, baszo! tego nie uczynię.

— Ja twój pan, rozkazuję ci!

— Tyś mój pan, — odrzekłem spokojnie, — ale cię nie usłucham, bom ja nie morderca.

— Aleś niewolnik!! — krzyknął basza.

— Gdybym był chciał być mordercą, — rzekłem mu, — już nie byłbym niewolnikiem twoim, boby cię na świecie nie było.

Słowa te snadź na baszy zrobiły wrażenie. Popatrzał znowu na mnie czas niejaki, a potem skinąwszy na mnie, abym szedł za nim, poszedł do swego mieszkania; ja za nim.

Basza kazał zawołać przełożonego domu.

— Jusuf, ten pies niewierny, odtąd będzie przy mnie spełniał posługi. Daj mu inne odzienie. Precz!!

Po tych słowach wyprowadził mnie przełożony domu z komnaty baszy.

Los się mój przez to mało co poprawił. Jednakowoż już przynajmniej noce nie były tak przykre..

Nie wiedziałem, że basza za uratowanie mu życia chciał mnie wynagrodzić. On tę nagrodę sądził według swego mniemania wspaniałą. I taką też rzeczywiście była...

Chciał mi dać za żonę córkę swą, piękną Sulejmę, i dziesięć kies złota, ale pod warunkiem, abym przyjął jego wiarę.

Warunek ten był nie wykonalny, a Sulejma piękna zachwiać mnie nie mogła, bo... och!...

Wrzucono mnie do lochu, aby mnie złagozić, ale piękna Sulejma dała mi sposobność do ucieczki...

Do śmierci nie zapomnę, com winien tej dziewczyny. Ona jest moją wybawicielką. Modlić się będę za nią do mego Boga, jak sobie tego życzyła...

Uciekałem szybko, tak szybko, że koń mój wytrzymać nie mógł. Nie chciał słuchać naglenia do pospieszniejszej podróży, a ja nie miałem czasu pozwalać mu na wytchnienie, a tem mniej czekać na to, przeto puściłem konia wolno, a ja pieszo zdążałem do swoich.

I Bóg mnie szczęśliwie doprowadził aż dotąd... Będę go prosił, aby mnie i do ostatecznego celu zawiódł szczęśliwie.

Skończył i opuścił głowę. Na chwilę było milczenie. Oboje staruszkowie jeszcze w myśli rozważali czas pobytu Damiana w niewoli tatarskiej i jego szczęśliwą ucieczkę. Damian zaś zamyslił się głęboko, niewiadomo, czy o przeszłości, czyli też o przyszłości.

I cicho było w izbie.

Starzec odchrząknął.

— Damianie, — rzekł, — wiele złego wyżyłeś, ale już minęło i nie wróci. Teraz już jesteś pomiędzy swymi. Tatar zapewne za naszego ży-

cia już nie wróci, bo mu się rycerstwo polskie dobrze dało we znaki.

— Rycerstwo polskie? — zapytał zdziwiony Damian.

— Tak jest, — odrzekł starzec. — Ale ci opowiem od początku. Owóż poszedłem na owo wesele tego pamiętnego dnia, bom krewny ojca Janka. Moja stara pozostała w domu.

Pamiętasz, jak to Niedźwiadek nas jeszcze wczas ostrzegł. Zabierano się na ostrów i ja z nimi. O, Janko płakał swęj Marysi, ale i mnie serce pękało na wspomnienie, że moja stara sama została w odludnym futorze. Jedyna myśl mnie pocieszała, że, jak się zdawało, szlak tatarski nie pójdzie na mój futor. Ale mógłby kto z Tatarzynów jednak moje schronienie wysledzić, a wtenczas już po wszystkiemu.

Ale nie wiedziałem na to rady... nie było sposobu ani odejść, ani kogo posłać.

Nagle w zamieszaniu ktoś mnie poszarpnął za rękaw. Obejrzałem się. Stał przedemną jakiś człowiek, niby mi znany, ale nie mogłem sobie przypomnieć, coby on był za jeden.

— Witajcież ojcze, czyż mnie nie poznajecie? — zawołał.

— Nie poznaje.

— To mi się przypatrzcie, — wołał.

— Nie ma na to czasu — odrzekłem gniewny — coś ty za jeden.

Tu mi dopiero się dał poznać. Był to mój krewniak i przybył do mego futorka. Nie zastawszy mnie w domu, poszedł za mną. Znalazł mnie wprawdzie, ale trafił na chwilę, kiedyśmy się zabierali na ostrów.

— Żle trafiłeś, — rzekłem, — Tatarzyn już tuż.

— A jak to źle, — odrzekł mi wesoło, — owszem dobrze, będzie jeden więcej do obrony... Więc idźcie z Bogiem na ostrów, a gdybym miał zginąć, opiekujcie się tam...

Nie dokończył, gdyż ty Damianie krzyknąłeś na młodzież, aby się koło ciebie zebrała. On też uściśnął mi tylko rękę i jakby tu ztąd pochodził, zaraz pomiędzy was się wniósł.

Z ostrowia nie widzieliśmy wprawdzie walki, jaka się toczyła, ale z okrzyków tatarskich domyśliliśmy się, co się dzieje. O! wszyscy klęczeliśmy i modliliśmy się głośno do Boga! Nie było niktogo, kto by nie miał łez w oczach!...

Tatarzy odjechali, ale my ostrowia nie opuściliśmy. Dopiero dawno po wschodzie słońca, kiedy się wszystko uciszyło, odważyło się kilku puścić się wpław do lasu.

A w tém też rozlega się tętęt kopyt końskich i błyszczą broje rycerstwa polskiego. Nie zatrzymało się ono, tylko poszło w pogoń za Tatarami. Teraz też domyśliliśmy się, czemu oni ostrów poniechali... snadź dostali wiadomość o nadciągającym rycerstwie.

Tak garstka walecznych ocalała ostrów...

Niebezpieczeństwo minęło, rzuciliśmy się do zarzucenia wiosła i opuściliśmy schronienie.

Straszny widok! Cały brzeg lasu zasłany trupami! Z nas kilku tylko się jękiem jeszcze zdardażało. Tylko bardzo mało było ich przy życiu, pomiędzy nimi Janko i mój krewniak, reszta zabici.

Twego trupa odnaleźć nie mogliśmy. Nikt nie sądził, abyś był z pola bitwy uciekł, zwłaszcza, że na jednem miejscu wyraźnie znać było, że tam straszliwa wrzała bójka; znaleziono tam twój łuk, twoją maczugę, a opodał twój topór utkwiony w piersi Tataru. Więc domyśliliśmy się, że cię pojmano i uprowadzono w jasyr.

Wieś cała spalona i zniszczona. O to się jednak mało troszczono, bo w krótkim czasie już napowrót wszystko do dawnego wróciło porządku.

Mój krewniak srodze był zraniony cięciem pałasza przez głowę. Iść nie mógł, przeto zawieziono go do mego futoru. Jechałem i ja, ale z wielkim strachem. Zastanę go jeszcze?... żyjeż moja stara?...

Zastałem i dom i moją starą, ale prócz tego jeszcze dwie inne osoby, z których jedna była bardzo chorą... Ale to ciebie nie będzie obchodziło...

I tak skończył się ten napad Tatarów na Żurawin.

Tu starzec przestał. Damian zaczął wypytywać teraz to o Janka, to o Marysię i Żegotę i innych. Starzec mu wiernie odpowiadał na wszystko. Niestety! nie wiele sam wiedział, bo od powrotu do swego futoru jeszcze go ani razu nie opuścił.

— Cóż się stało z waszym krewniakiem? — zapytał Damian, — czy już go tu nie ma?

Starzec się zasepił.

— O! — zawołał, — mogę ci zresztą wszystko opowiedzieć, bo wiem przecież, do kogo mówię. Damian spojrzał na niego ciekawie.

— A cóż to, — zawołał, — jakaś widzę tajemnica?

— I wielka, — potwierdził starzec, — bo ja jój sam nawet nie znam. Ale opowiem ci tyle, ile wiem i ilem widział.

Krewniak przyprowadził ze sobą jakieś młode panie, i zalecił abyśmy nie powiadali nikomu, że one się tu znajdują. Chciał się zaraz wrócić, ale że mnie wtedy w domu nie było, i że on odszukawszy mnie, sam znalazł się w tańcu z Tatarami i przez łeb odebrał, przeto musiał czas niejaki poleżeć, zanim się wylizał. A potem też wracać nie chciał, a przynajmniej ciągle odwłóczył.

Panny były młode, a ładne. Jedna z nich, widać majątniejsza, była ładniejszą niż druga. Ta ładniejsza była z początku bardzo chora, i mój krewniak już się dawno wylizał, kiedy ona jeszcze z łoża nie powstała.

Wreszcie wyzdrowienie nastąpiło.

Niedawno temu obie panny przynagliły mego krewniaka, aby poszedł zobaczyć, co się tam dzieje w świecie.

I on też poszedł, ale dotąd nie wrócił, — dodał, kończąc.

Damian się mimowolnie obejrzał.

— I gdzież je podzieliście? — zapytał ciekawie, — radbym je widział, bo to jakaś tajemnicza sprawa.

Starzec machnął ręką, a staruszka westchnęła.

— A tóż to, — zawołał, — człek nie wie, co o tem sądzić. Wczoraj nad wieczorem przypadło do nas kilku jeźdźców. Gdy ich panny ujrzały, pomdlały. Oni je wzięli ze sobą na konie i znikli bez śladu!... Otóż cała tajemnica... Oby

tylko jeszcze na nas się nie skupiło... Ale otóż i kury pieją... idźmy na spoczynek, a jutro pogadamy dalej.

To rzekłszy, zabrał się do powstania. Nie tak Damian. Jego ta tajemnica zajęła nie mało. Ktoby to mógł być i zkądby się tu jakieś dwie panny wzięły? Prawda, że granica nie daleko i może z zagranicy uchronił je ten tam jakiś krewniak, a potem na ślad trafiono i ujęto je. Myśli mu się pomieszały i nie mógł na razie przyjść z niemi do ładu.

— Nie wychodziły te panny nigdzie?

— Nie, owszem ukrywały się jak mogły.

— I nie wiecie, zkąd były?

— I tego nie. Raz się zapytałem krewniaka, ale odpowiedział mi, żebym lepiej nie pytał. Mógłbym się czasem zdradzić.

— Hm! dziwna rzecz.

— Toć dziwna.

— A ci jeźdźcy, — zapytał Damian, — przybyli oni po przyjacielsku?

— A gdzie tam! wszakże powiadam, że obie panny omdlały z przestachu, kiedy ich zobaczyły.

— Jak się nazywa wasz krewniak?

— Bogusz?

— A zkąd był?

— Z Okopu.

Damin się zerwał, głos mu się na chwilę zaparł, a potem krzyknął namiętnie:

— Starcze, jak imię tym dwom pannom?

— Witosława i Dobrochna!

— Witosława!... — zawrzaskał Damian i upadł bezwładny na siedzenie.

XIV.

Dobromir na okrzyk Bogusza spojrział zdziwiony.

— Cóż to? — zawołał, — Boguszu, nie znasz tego pana?

— Bogusz! — wykrzyknął nieznajomy, — tyś to?

— To ja, Damianie, — odrzekł Bogusz, — ale ty żyjesz?

Dobromir stanął osłupiały.

— Ależ Boguszu, przypatrz się, — krzyknął, — nie poznajesz go?

I Bogusz spojrział na Dobromira zdziwiony, nie mogąc go pojąć.

— Cóż chcecie, — zawołał, — wszakże to ten sam, co posiekł Tatarów w Żurawinie!... nieprawda, Damianie?

— Tak jest, — odrzekł zapytany, — ja się wtenczas tak nazywałem, czy właściwie mnie tak nazywano, bom ja sobie tego imienia nie dał.

— Nazywano!... — zabełkotał Bogusz i wlepił swe oczy w mniemanego Damiana.

Zrobiło się cicho na chwilę. Naraz Bogusz padł do nóg przybyszowi.

— O, — zakrzyknął, — gdzież miałem wtedy oczy!... A witaj panie!

— Poznajesz teraz! — zawołał Dobromir.

— Żelisław!... o poznaję, poznaję, ale gdzież miałem oczy, kiedy tak siekł Tatarów.

— O tém potem, — zawołał Dobromir, — dość, że mamy naszego kochanego pana Żelysława, to reszta pójdzie jak z płatka. Rozgoście się, panie, po podróży miły wypoczynek.

I stary odmłodził. Wnet się zakręcił i miał wieszak gotowy.

— Wygrana nasza! — wołał, — mamy pana Żelisława, Witosława w dobrych rękach, więc...

— Starcze! — zawołał Żelisław, — zkad wiesz, że Witosława w dobrych rękach?

— Ano Bogusz opowiadał.

— Ha, Bogusz! — krzyknął boleśnie Żelisław.

— Na Boga, cóż się stało?

— Witosławę z Dobrochną uprowadzono! — rzekł Żelisław ponuro.

Dwa okrzyki odezwały się w jaskini.

— Kto uprowadził?

— Kiedy?

— Jak?

Na te pytania sam Żelisław nie umiał odpowiedzieć, opowiedział tylko tyle, ile słyszał.

Dobromir spojrzał na Bogusza i westchnął. Bogusz to zrozumiał.

— O! — zawołał boleśnie, — jam zdrajca, ale widzi Bóg, niewinny!... O, ja nieszczęśliwy!...

Żelisław spoglądał to na jednego, to na drugiego, nic z tego nie rozumiejąc.

— Panie, — rzekł Dobromir, — Bogusz Witosławę ukrył, ale wrócił po długim czasie, aby się przekonać, co się tu dzieje i czy Witosława może wrócić. Na nieszczęście Mścigniew go dostał w swe ręce i badał, gdzie podział Witosławę. Bogusz nie chciał powiedzieć, więc darto z niego pasy!...

— Okropnie!... — otrząsał się Żelisław.

— Trzy razy wytrzymał, ale po trzecim dostał ze straszego bólu obłąkania, i...

— I zdradził! — zawołał boleśnie Żelisław —, tak jest, ból wymógł na nim zeznanie. Tyś niewinny, Boguszu! Coś uczynił, uczyniłeś bezprzytomny!... O Mścigniewie, Mścigniewie!... jakaż kara będzie dla ciebie za wielka? Mścigniew ją uprowadził i trzyma na Okopie.

Zaczęły się teraz wzajemne opowiadania i nie długo wszyscy trzej znali całą przeszłość każdego. Podziwiano nawzajem osobliwsze zdarzenia i cieszo się, że się znajdują wspólnie.

— Smutna to rzecz — rzekł Żelisław — być tak blisko Skarbimira i Witosławy, a nie móc im w niczem dopomóc.

— Tylko siłą możemy ich odbić — odrzekł Dobromir — jedynie siła może nam wrota na Okop otworzyć. A o tę siłę ze Wszeborem już się postaramy.

— Zachować trzeba jednakże moje zjawienie się w tajemnicy, — rzekł Żelisław, — bo Mścigniew, dowiedziawszy się o tem, byłby czujnym i mógłby najazd chociaż nie uniemożliwić, to przynajmniej we wielu względach stanąć nam w drodze. A napad musi być nagły, niespodziany, dopóki się na niego zupełnie nie przygotowuje.

— O panie, — rzekł Dobromir, — na złodzieju czapka gore, gore i na głowie Mścigniewa. On wprowadzie, jak wszyscy inni, żyje w tém przekonaniu, że zbrodnia na tobie popełniona wieczną pokryta tajemnicą, i ciebie się nie obawia. Jednakże ma się zawsze na ostrożności.

— Inaczej nam czynić nie wypada.

— Zapewne.

— Więc do dzieła!

— — Ho! — zawołał dumnie Dobromir — dzieło już rozpoczęte. Kiedy ty, panie, zjawisz się nagle pomiędzy naszymi, w ogień za tobą pójda i trzeba będzie jeszcze Mścigniewa bronić, aby go na rożnie nie upiekli przed czasem.

I rozpoczęli naradę względem swych dalszych zamiarów i planów.

Na Okopie od pewnego czasu ustawiczna hulanka. Mścigniew, wielki teraz pan, i Prokop, jego towarzysz, używają wszystkiego, co im się tak gładko udało nabyć. Ustawiczne tam gody, nie tylko u pana, ale i u służby. Mścigniew nikomu nie żałuje, wie bowiem, że przez to ich przykuwa do siebie i tym sposobem obudza chęć do służenia wiernie panu, u którego mają tak dobrze.

— Hej! nie ma to, jak na Okopie! — wrzeszczano.

— To pan!

— Na całym świecie lepszego nie ma.

— Ani hojniejszego.

— Ani potężniejszego.

— Niech żyje nasz pan!

— Niech żyje Mścigniew.

Tymczasem w sklepie pod dworem smutnie. Nieszczęśliwy Skarbimir już od roku nie widział słońca, ani nie miał co innego na posilenie, jak czarny chleb i wodę, czego mu zawsze klucznik dostarczał raz na dzień nad wieczorem. Posłaniem jego była garść zgnilej słomy, ułożona w kącie lochu.

Skarbimir leżał schorzały na słomie, ale ani jęczał, ani narzekał. Prosił on tylko Boga

o jak mi

skróciła chlejszą śmierć, któraby męczarnie jego

jedną

jest przekleństwo utrzymywało go przy siłach, to
Ale gdzież nie, że Witosława uszła rąk zbójcy.

W poest? u kogo?...

klucznik, rych zatopiony myślach, nie dbał na
i który mu, jak się zdawało, niósł chleb
tak jednakże przytłumione jęki i głośne sza-
uwagę śmiechy gdzieś niedaleko, zwróciły jego
cznik. Podniósł się i usiadł, oczekując klu-

było ciemno zupełnie. Drzwi się otworzyły,
klucznik wszedł, położył chleb i postawił dzban
wody. Jakiś głuchy jęk się odezwał i mimo ciem-
ności widna jeszcze druga postać.

— Tu na was dwóch chleba i wody! — rzekł
klucznik sucho i wyszedł, zatrzasnąwszy i zasunąw-
szy drzwi na żelazne zapory.

Postać rysująca się czarno w ciemności, stała
nieruchoma, a potem skłęsa na kolana.

— O Boże! — zakrzyknęła, — pocóż mnie
tak karzesz! Cóżem zawiniła, że mnie same ści-
gają prześladowania! O Boże! odwróć raz odemnie
twa karzącą rękę, a zeslij mi śmierć....

Skarbimir zadrżał, a potem zerwał się na rów-
ne nogi.

— Witosławo! — krzyknął, — córko, toś ty?

Postać zawrzasnęła okropnie, i skuliła się w ką-
cie przerażona, drżąca.

— Nie bój się, Witosławo, — wołał Skarbi-
mir, — to ja, twój nieszczęśliwy ojciec.

Witosława podniosła głowę, ale poznać nie
mogła, tylko widziała ciemną także postać.

— Ojciec... — wyrzekła machinalnie.

— Tak, to ja, Skarbimir, twój ojciec i unosząc czule Skarbimir, chwytając Witosława widząc cię w górę. — Opamiętaj się... Ten zbynajmniej rabie także wtrącił do lochu... Och! przyszedłem jesteśmy... och!

Witosława zaczęła przychodzić do siebie. Nie mogła jednakże zebrać myśli. — czyż to

— Och!... ojciec... — szeptała — być może...

— Witosławo!... ciemno, nie możesz poznać, ale uważaj na głos!... jeszcze nie poznajesz?

Teraz dopiero Witosława zakrzyknęła przeraźliwie.

— Och!... poznaję! Ojciec!... tyś to i ty! O Boże! i ty w tym lochu?

Po tych słowach padła ojcu w objęcia, ale zaraz zmysły ją opuściły i omdlała.

Skarbimir złożył ją na słomie, twarz skropił wodą i przyprowadził do przytomności.

Och! straszne to było spotkanie i poznanie się z ojcem! Straszne, za trudne do opisania. A jednakże jeszcze w tem była pociecha, że znalazła ojca. Ona sobie mówiła, że będzie przynajmniej mogła ojca pielęgnować, a tymczasem od niego pielęgnowania potrzebowała!... Biedaczka!... Już siły tylu strasznemi ciosami były podkopane, nadwątlone i cudem tylko nazwać było można, że i tym razem nie popadła w chorobę.

Smutnym jest stan więźnia, ale stęsknieniem takim jak ten, który nie wie o swém dalszém przeznaczeniu. Skarbimir i Witosława nie wiedzieli, czy są skazani na zgniecie w lochu, czy też na inne jakie męki.

— Żeliszławie!...

— Witosławo!...

Trwało to małą tylko chwilkę. Skarbimir na głos: Żeliszław! zadrżał, zwrócił oczy w tę stronę i dojrzał go właśnie w tej chwili, gdy go Witosława obejmowała w swe objęcia. Skoczył do nich, ze łzami objął w swe ramiona obie głowy i złożył na nich pocałunek.

Zaczęły się objaśnienia wprawdzie krótkie, ale wystarczające.

Radość z takiego obrotu rzeczy była niesłychana.

— Kuźmo! z ciebie jednak dobry człowiek, — wołano, — wart jesteś, żeby cię już nie powieszono.

— Ano, — odrzekł Kuźma, — to nie ja zrobiłem, ale Bogusz, który choć mógł mnie powiesić, nie chciał, chociaż ja darłem z niego pasy.

— Oj, gdyby cię Mścigniew dostał!

— Ha! Mścigniew już nie moim panem, bo on mnie wysłał na powieszenie. A że Dobromir tego nie zrobił, więc ja dla Mścigniewa umarłem, a narodziłem się dla Dobromira, czyli raczej dla Skarbimira, którego musiałem uratować, nim go Mścigniew przebiję.

— Widzisz go! jak mądrze umie to wyłómaczyć!

— Ano, czemu nie?

I znowu inni:

— Za czemże czekamy?

— Czemu nie uderzamy na Okop?

— Mścigniew nas oszukał, bo to nie palec Witosławy.

— A zkad wiesz o tem.

— Oszalałeś?... wszakże Witosława ma wszystkie palce!

— A prawda.

— Hej! Dobromirze, jakże tam! rychło uderzymy?

Niecierpliwość rosła coraz więcej. Nie szło jednakże tak zaraz rozgorączkowanym umysłem uczynić zadość. Trzeba było poprzednio zabezpieczyć Skarbimira i Witosławę przed możliwym napadem od Góry lub Zalesia.

Zarządzono wszystko, a potem ze szalonymi okrzykami i ze szaloną żądzą bójki, cały orszak uderzył na Okop. Nic nie zdołało się oprzeć. Zdawało się, że dla nich zapory nie istnieją; na pierwsze uderzenie już wały były zdobyte, już dziedziniec pełen, brama otwarta, a co się opierało, leżało trupem.

— Gdzie Mścigniew? — wołał jakiś głos.

— Gdzie Mścigniew? — rozległ się okrzyk.

— Nie ma go.

— Uciekł.

— Schował się.

— Szukać go.

— Z pod ziemi wydobędziemy!

Mścigniew tymczasem z Prokopem stał blady w lochu i oglądał się na wszystkie strony. Mury kamienne zdały się być nienaruszone, a tymczasem więźniów nie było.

I klucznik stał przerażony, drżący.

— Gdzie Skarbimir? — krzyknął wściekły Mścigniew.

— O panie, — zawołał klucznik i padł na kolana, — to cud!...

— Uprowadziłeś ich!!

— O... panie...

Mścigniew jednym cięciem miecza rozplątał czaszkę klucznikowi, a potem zwrócił się do Prokopa.

— Prokopie, — zawołał wściekle, — więc..

— Śmierć! — dokończył ponuro Prokop.

— Tak, to śmierć! — wrzasnął Mścigniew, — ale pomszczę mój śmierci. Chodźmy, sprawimy przynajmniej straszną rzeź!...

I pędem wypadli na dziedziniec.

— Ho! Mścigniew!...

— Gdzież on?

— A tam!

— Hura! na niego.

Naprzód wypadł jakiś mężczyzna ze wzniesionym mieczem. Mścigniew go dojrzał i również wypadł ku niemu. Żelaza się starły, zgrzytnęły, ale w tej chwili Mścigniew przeraźliwie zakrzyknął, miecz opadł z bezwładnej ręki.

— Żelisław!

Piorunem się jednakże opamiętał.

— Ha! — krzyknął, — piekło cię napowrót wydało, giń tedy teraz z mój ręki!...

Próżna była jednakże groźba, bo nim zdołał miecz wzniesć napowrót, już go kilka rąk trzymało, a inni wiazali.

Mścigniew podobny był ranionemu dzikiemu zwierzęciu. Ryczał przeraźliwie, kopał na wszystkie strony, całe pęki krwawej piany toczyły mu się z ust, ale to nie pomogło. Dano sobie z nim radę i związanego rzucono w kąt i oddano pod straż.

Z Prokopem była trudniejsza sprawa. Starł on się z Dobromirem, i wnet wziął nad nim przewa-

gę. W sam czas nadbiegł Wszebór i cięciem przez ramię ubezwładnił mu rękę z mieczem. Wtenczas go również związano i położono obok wściekłego Mścigniewa.

Dobromir, Bogusz i kilku innych wpadło do komnat, wywołując kryjących się łuczników, ale nie odbierano im życia, chyba, gdy się zażarcie bronili.

Naraz natrafiono na drzwi zamknięte.

— Hola! — zawołano, — tu się schowali.

— Rębać!

I topory zabębniły. Drzwi jęły... wpadli... i wydali okrzyk zgrozy. Na podłodze leżała niewiasta, a obok niej kałuża krwi.

Dobromir doskoczył, uniósł niewiastę do góry. Żyłą zapewne, bo czuł lekkie jej drgania. Spojrzał na twarz i krzyknął przeraźliwie:

— Dobrochna!

Tak, to ona była. Ale czy przebita? Nie.

— Zkąd ta krew?

— Musi być ranna.

— Zobaczymy.

U prawej ręki brakło serdecznego palca.

— Ha! — wrzasnął Dobromir, ten zbójca odciął jej palec, który udał za palec Witosławy.

— Nieszczęśliwa.

— Ale zkąd pierścień?

— Zapewne wsadził nań pierścień Witosławy.

— Zapewne.

Wyniesiono Dobrochnę i opatrzono jej rane, z której tyle krwi upłynęło.

Zelisław dał znak do odejścia. Twarz jego była poważna, ponura, nie zgadzająca się z wesołością bijącą z twarzy zwycięzców. I mieli też przyczynę

być wesołymi. Zdobyć Okopu poszło im tak gładko, że prawie bez straty; a jakie odnieśli korzyści! Nie mogli się nawet spodziewać, że wyprawa ta tak świetny odniesie skutek.

Pochód zwolna ruszył ku Górze. Mścigniewa i Prokopa wzięto ze sobą powiązanych. Wśród radosnych okrzyków, doszedł orszak do Krzyżówki, gdzie wielkie już tłupy ze Zalesia i Góry oczekiwały. Orszak stanął powitany okrzykami, od których ziemia prawie drżała.

Mścigniewa i Prokopa zniesiono i postawiono na nogi. Mieli obaj spuszczone głowy, aby nie widzieli tego, co się nad nimi znajduje.

A mieli też do tego słuszne powody. Stali pod grubym słupem, sterczącym na kilkanaście łokci w górę. Od tego słupa wystawała w bok gruba belka pod kątem prostym, a na końcu tej belki spodem wisiały haki.

To... szubienica!...

Dla kogóż tę szubienicę Mścigniew kazał wystawić?

Dla Skarbimira!...

Straszna zmiana losu... on sam teraz stoi pod tą szubienicą, a ten, dla którego ją wystawił, Skarbimir, znajduje się konno obok dowódcy wyprawy, Żelysława, tego samego, którego miał za umarłego.

I przytomni zapewne uczuli jakieś wstrząśnienie nerw, bo przez chwilę nastała cisza, ale aby potem tém większe nastąpiło ożywienie.

— Hej! Boguszu!... — wrzasnął Kuźma, — a patrz no, jak im to pod szubienicą do twarzy!

Bogusz się rozśmiał.

— Wreszcie okolica będzie spokojną, — mówiono na inném miejscu, — jak tych zbójców powieszają.

— Oj prawda.

Na inném znowu miejscu inna rozmowa.

— Szkoda ich, — szeptano.

— Co szkoda, to szkoda, — była odpowiedź.

— Mieliśmy co jeść, co pić.

— Pod żadnym panem takiej pohulanki nie będzie.

— Szkoda go.

— A niech go czart porwie, kiedy się nie umiał obronić.

— Bo i prawda.

Tymczasem Żeliszław, Skarbimir, Dobromir, Wszebor i okoliczni znaczniejsi wyjechali naprzód i utworzyli półkole obok obu związanych.

— Mścigniewie, — zawołał poważnym głosem Żeliszław, — miara twych zbrodni się przebrała. Po rozważeniu dokładnem, my tu wszyscy przytomni skazaliśmy ciebie i twego towarzysza na śmierć. Wiemy, że nie jesteś Polakiem, ale nie wiemy, czyś chrześcijanin... katolik. Pomnij zatem na twą duszę i żałuj za grzechy, gdyż będziesz powieszonym na tém samém miejscu, gdzieś chciał już raz Skarbimira wieszać, a teraz dlań wystawiłeś szubienicę.

Mścigniew podniósł swe oczy. Były krwią zasłże, aż zgroza było patrzeć.

— Żałuję, — zawołał ochrypłym głosem, — ale żałuję, że moja strzała nie dosięgła twego serca, i żałuję, że Skarbimirowi łba nie rozplątałem, jak mu się należało! Wy jesteście wszy-

scy zbójcami i was na mojem miejscu powiesić należy!

Okrzyk oburzenia rozległ się pomiędzy zgromadzonymi.

— Czemuż go nie wieszają?

— On szydzi z nas.

— My zbójcy?

— Powiesić go!

— Bo go sami powiesimy!

Żeliszaw skinął ręką na ucieszenie.

— Twoje słowa już nas nie obchodzą, — rzekł do Mścigniewa łagodnie, ale stanowczo, — tyś dla nas już umarłym. Chodzi nam o twą duszę.

— Patrz twojej duszy! — wrzasnął Mścigniew.

— Zatem pożegnaj się ze światem.

To rzekłszy, skinął na kilku już na to skinienie czekających. Jak koty wdrapali się po słupie na wystającą belkę, założyli dwa lipowe powrozy i spuścili je na dół. Tu inni zadzierzgnęli je na szyi Mścigniewa i zbladłego, milczącego Prokopa.

— Przeklinam was! — wrzasnął Mścigniew, — przeklinam was wszystkich tu obecnych i wszystkich potomków waszych! Oby wszystko złe, jakie kogo spotkać może, piekło na was wylało! Oby was wszystkich nagła śmierć spotkała, a kruki wam oczy wykuły! Oby...

— Wieszac! — rozległ się okrzyk i zagłuszył przekleństwa Mścigniewa.

Jeszcze coś bełkotał, ale już go ciągną do góry. Zamilkł, oczy tylko wywalił, a za chwilę wisiał mu z ust długi czarny język.

Nie trwało długo, a już oba ciała zawisły wysoko pomiędzy niebem, a ziemią. Drgały straszliwie, i kręciły się w koło, niby kłębek na nici. Zwolna, zwolna drgania ustały, ciała przestały się kręcić, aż wreszcie lekko się kołysząc, zwróciły się czarnemi, krwią nabiegłemi twarzami ku zgrozą przejętym widzom.

Mścigniew i Prokop już nie żyli.

Przerażenie było tylko chwilowe. Wnet z wesołemi okrzykami ruszył pochód ku Górze, gdzie już naprzód Dobromir wszystko na przyjęcie prawowitego pana urządził. Została się tylko straż, aby wisielców nie zdjęto ze szubienicy.

Ze łzami w oczach wjeżdżał Skarbimir ze Żeliszławem na Górę, gdzie już Witosława ze swą przyjaciółką, która za nią krew przelała, oczekiwała na ich przybycie. Dziedziniec się napełnił, a okrzyki, niby echo grzmotu, napełniły okolicę.

— Niech żyje Skarbimir, nasz pan!

— Niech żyje Witosława!

Okrzyki rosły coraz więcej, a uciecha napełniała serca wszystkich. I nie było nikogo, ktoby się nie weselił tak na dworze, jak na dziedzińcu.

I spokój zapanował w okolicy, a tylko długo, długo ze zgrozą przypatrywano się wiszącym na szubienicy dwóm nagim szkieletom, które straszyły tajemniczym chrzęstem na Krzyżówce.







Abraham Lincoln



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000524407



I 282955

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000524407



I 282955